



GRUDZIEŃ

1970

PAMIĘTAMY

Dziennik
Utworzony w 1884 roku
ŁÓDZKI

DZIENNIK POLSKI

DZIENNIK
ZACHODNI

GAZETA
LUBUSKA

GAZETA
WSPÓŁCZESNA

Dziennik
Bałtycki

GAZETA
pomorska

Gazeta
WROCŁAWSKA

GŁOS
WIELKOPOLSKI

GŁOS
WIELKOPOLSKI

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
TIMES.PL

NIE PŁACZCIE MATKI, TO NIE NA DARMO...

Grudzień '70 był krwawą rozprawą komunistycznego reżimu z robotnikami Wybrzeża, którzy w reakcji na ogłoszoną podwyżkę chcieli władzy wykrzyczeć swoje niezadowolenie. Jej odpowiedzią były serie z broni maszynowej, aresztowania, katowanie zatrzymanych. Ból i gniew potęgowało upokorzenie, gdy ofiary grzebano nocą, po kryjomu. Na długo zapadły one w pamięć mieszkańców Wybrzeża



DR JAROSŁAW SZAREK
(PREZES INSTYTUTU
PAMIĘCI NARODOWEJ)

Grudniowy ból był tym większy, że krew przełano tuż przed Bożym Narodzeniem; najbardziej rodzinnymi świętami, gdy przy wigilijnym stole siada się wśród najbliższych, aby przełamać się opłatkiem, zaśpiewać kolędy, a puste nakrycie czeka na niespodziewanego gościa. Wówczas to dodatkowo miejsce w wielu domach Gdańska, Gdyni, Szczecina i Elbląga przemawiało w przejmujący sposób, przywołując zamordowanych salwami wojska i milicji oraz przebywających w więzieniach.

Tam broczy serce ludzkości...

Wydarzenia te wstrząsnęły nie tylko Polakami. Fotografie, jakie przedostały się do zachodniej prasy, przedstawiające tłumy robotników, ludzi zastrzelonych na ulicach, płonące komitety partyjne, ukazywały rzeczywistość za żelazną kurtyną. Partia, mająca w nazwie przymiotnik „robotnicza”, po raz kolejny obrała sobie za cel robotników. Choć świat nie zareagował, to te obrazy poruszyły nieliczne sumienia. Ojciec Święty Paweł VI słał na ręce Prymasa Stefana Wyszyńskiego słowa modlitwy, otuchy i pokoju. Z kolei były jugosłowiański działacz komunistyczny, z czasem krytyk tego systemu, emigrant Milovan Đilas pisał z patosem: „Oś świata przechyliła się w owych pamiętnych dniach w stronę polskiego Wybrzeża – tam broczyło krwią serce ludzkości, serce, które bije dla wolności”. Dramat robotników Wybrzeża oddał w swych powieściach czeski poeta i bard Karel Kryl: „Organy w Oliwie zamarły w pół dźwięku / Jest cicho nad brzegiem, ulice we mgle / A mózg, który winien prowadzić ich rękę / Automat i czołgi kieruje na cel [...] / Już



Jednym z zamordowanych podczas Grudnia '70 był Zbyszek Godlewski, pierwowzór tytułowego bohatera „Ballady o Janku Wiśniewskim”

radość świąteczna gdzie indziej rozbrzmiewa / Organy w Oliwie żalobnie dziś łkają / Żołądek twój głodny kolędy ci śpiewa, / W refrenie nie dzwony lecz strzały zagrają / W imię socjalizmu”.

Pieśń powstała, gdy Kryl był już na emigracji, gdyż w sierpniu 1968 roku, również „w imię obrony socjalizmu”, blisko ćwierć miliona żołnierzy wojsk Układu Warszawskiego – wśród nich oddziały ludowego Wojska Polskiego – tłumili naiwne nadzieje jego rodaków, że możliwy jest „socjalizm z ludzką twarzą”. Praska Wiosna i polski Grudzień '70 były końcem tych złudzeń, końcem wiary w reformowalność komunizmu. Trwał nadal dzięki miliardom dolarów i technologiom, które w ramach polityki odprężenia zaczęły płynąć z Zachodu od końca lat 60. XX wieku do Związku Sowieckiego, a w Polsce umożliwiając do połowy dekady, chwilową poprawę warunków życia.

Jesteśmy z robotnikami Gdańska...

Grudniowe doświadczenia nie poszły jednak na marne, o czym śpiewano w powstałej wtedy najsłynniejszej pieśni, upamiętniającej śmierć 18-letniego Zbigniewa Godlewskiego w gdyński „czarny czwartek” – „Nie płaczcie matki, to nie na darmo / Nad stoczną sztandar z czarną kokardą / Za chleb i wolność, i nową Polskę / Janek Wiśniewski padł”.

Cena była ogromna, ale płonące komitety partyjne i protesty rozszerzające się w głąb kraju, zmusiły Moskwę do wymiany rządzącej od 1956 roku ekipy oraz do jej rozmów ze strajkującymi w styczniu 1971 roku. To budziło poczucie siły świata pracy. Wybrzeże nie pozostało też całkiem osamotnione. W głębi kraju, w dzielnicach fabryk, rozpoczynały się strajki, nastroje protestu narastały w kolejnych ośrodkach i tylko kwestią czasu było przerwanie pracy w następnych miastach. Mimo spacyfi-

kowanych po marcu 1968 roku środowisk akademickich, tam też narastał ferment, pojawiały się setki ulotek. W Krakowie przez trzy dni milicja rozprasała demonstrujących studentów. Dziesiątki osób zostały zatrzymane, mimo że rektorzy wydali oświadczenie, iż relegują z uczelni każdego zatrzymanego. Studentom nakazano opuścić akademiki, a gdy czynili to opornie, wyłączono ogrzewanie i prąd. Ulotki wzywały do protestów, studentki wywieszały plakaty: „Jesteśmy z walczącymi robotnikami Gdańska, Szczecina, Słupska. Potępiamy barbarzyństwo [...] Dziewczeta!!! Jako przyszłe matki nie pozwólmy na to, aby w okresie pokoju pod gąsieniami czołgów, ginęły matki z dziećmi!”. Była to skromna zapowiedź wspólnych już zmagania z komunizmem w latach osiemdziesiątych.

O prawdę, chleb i pamięć

W końcu stycznia 1971 roku doszło do wydarzeń, które po-

zostawiły kolejne doświadczenia. W Szczecinie do strajku Stoczni im. Warszawskiego dołączyli niemal wszystkie zakłady w mieście. Iskra, która doprowadziła do wybuchu, było kłamstwo zawarte w informacji o rzekomych zobowiązaniach podjętych przez stoczniowców. Tym razem domagano się już nie tylko chleba, ale prawdy. Strajkujący żądali także natychmiastowych wyborów do oficjalnych związków zawodowych i wyłonionych w czasie protestu rad. Zmusili do przyjazdu do Szczecina i podjęcia rozmów nowego sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Nie wywalczyli jednak cofnięcia podwyżki cen, to udało się dopiero kilka tygodni później strajkującym łódzkim włókniankom.

W przetaczających się przez całą Polskę dyskusjach powszechne było żądanie wyciągnięcia odpowiedzialności wobec osób winnych rozlewu krwi. Na pierwszomajowych pochodach w 1971 roku stocz-

niowcy pojawili się z transparentami domagającymi się ukarania winnych. Odpowiedzią władz były represje. W następnych latach komuniści robili wszystko, aby stłumić pamięć o Grudniu '70. Ona jednak trwała i odżyła w końcu lat siedemdziesiątych, stała się czynnikiem formującym gdańską opozycję, która co roku od 1977 organizowała obchody pod stoczną, w miejscu, gdzie padli zabici. Najpierw przychodziły setki i w końcu tysiące osób. Pamięć o Grudniu '70 przetrwała i stała się jednym z fundamentów, na których powstała „Solidarność”.

Który skrzywdziłeś człowieka prostego...

Wśród pierwszych żądań sierpniowego strajku zgłoszono postulat: „Do dnia 17 grudnia 80 roku zbudować pomnik ofiarom poległym w 70 roku”. Tylko dzięki determinacji strajkujących stało się to możliwe, gdyż dyrekcja czyniła wszystko, aby była to tylko skromna tablica w stoczniowej izbie tradycji. W cztery miesiące później stanęły monumenty w Gdyni i Pomnik Poległych Stoczniowców, do dzisiaj jeden z symboli miasta – słynne trzy gdańskie krzyże z kotwicami – czytelnie i dobitnie wskazujące korzenie i przesłanie „Solidarności”. Na jednej z umieszczonych na nim płaskorzeźb wryto słowa wiersza: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego / Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając, / (...) Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta / Możesz go zabić - narodzi się nowy. / Spisane będą czyny i rozmowy”.

Grudniowa zbrodnia nie została osądzona, sprawcy uniknęli kary, ale trwa pamięć o Grudniu '70. To z niego wyrosła „Solidarność” i „nowa Polska”. Czy jest taka, za którą stoczniowcy i portowcy oddali życie przed pół wiekiem? Czy taką będzie w przyszłości, zależy od nas samych, od naszego wysiłku, poświęcenia i wierności, a nadzieję niosą słowa psalmu z okalającego pomnik muru: „Pan da siłę swojemu ludowi / Pan da swojemu ludowi / błogosławieństwo pokoju”...

PROF. DR HAB. JERZY EISLER
(DYREKTOR IPN
WARSZAWA)

W walce o przejęcie władzy po Gomułce uczestniczyły dwie konkurujące ze sobą o wpływy nieformalne grupy. Jedną z nich przezywano „śląską”. Skupiała wokół jej niekwestionowanego lidera, członka Biura Politycznego i zarazem I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, Edwarda Gierka, pragmatycznie nastawionych młodszych działaczy z terenowego i centralnego aparatu partyjnego.

Jednak niezależnie od ambicji politycznych Gierka to nie „Ślązacy”, ale skupieni wokół ministra spraw wewnętrznych gen. Mieczysława Mocзара „partyzanci” byli uważani za głównych rywali Gomułki, a sam Moczar za jego potencjalnego następcę.

Sugerowano przy tym, że w 1968 r. „partyzanci” podjęli nieudaną próbę odsunięcia Gomułki od władzy, ale „Wiesław” - głównie za sprawą aktywnego zaangażowania się w pacyfikowanie Praskiej Wiosny - utrzymał silną pozycję. 7 grudnia 1970 r. odniósł swój życiowy sukces w zakresie polityki zagranicznej. W Warszawie miała miejsce uroczystość podpisania układu o podstawach normalizacji stosunków między PRL a RFN. Uroczystości „patronował” Gomułka, dla którego był to z pewnością jeden najważniejszych i najszcześniejszych dni w całej jego karierze politycznej. Powszechnie bowiem wiadomo, jak wielką wagę przywiązywał on do kwestii uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W tym samym czasie w ścisłej tajemnicy dobiegała końca ustalenia w kwestii wprowadzenia w Polsce na 11 dni przed świętami Bożego Narodzenia drastycznej podwyżki cen głównie na żywność. Nie dowiedziono jak dotąd, że ktokolwiek celowo wmanewrował w nią Gomułkę, przewidując protesty społeczne, ostre na nią reakcje władz i być może w dalszej konsekwencji zmiany polityczne na najwyższych piętrach władzy.

O ile nie ma wątpliwości, że w trakcie tragicznego tygodnia od 14 do 20 grudnia 1970 r. - wśród części działaczy w kierownictwie PZPR - miały miejsce poufne działania, które od pewnego momentu miały na celu doprowadzenie do zmian na szczytach władzy, o tyle nie ma najmniejszych śladów, by takie kroki podejmowano przed 14 grudnia, to znaczy pierwszym dniem ulicznych demonstracji w Gdańsku. Innymi słowy to,



Pierwszą, nieudaną, próbę odsunięcia Gomułki od władzy „partyzanci” z grupy Mieczysława Mocзара podjęli w marcu 1968 roku

GRUDZIEŃ 1970 W KC PZPR

Przez wiele lat pozycja I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki była niepodważalna i cieszył się on niekwestionowanym autorytetem. Ale w rzeczywistości w drugiej połowie lat 60. w kierownictwie PZPR toczyła się nieoficjalna rywalizacja, walka o schedę po nim

że była prowadzona skrycie walka o zmianę szefa partii już w trakcie rewolty grudniowej, nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale też nie ma żadnych dowodów na to, że cała „operacja cenowa” i zawczasu stopniowe eskalowanie napięcia społecznego, miały za zadanie doprowadzić do usunięcia Gomułki.

Kluczowa dla dalszego biegu wydarzeń decyzja o użyciu na dużą skalę wojska oraz określająca zasady używania broni palnej została podjęta na naradzie u Gomułki 15 grudnia o godzinie 9.00. Obok gospodarza uczestniczyli w niej: przewodniczący Rady Państwa, marszałek Polski Marian Spychalski, premier Józef Cyrankiewicz oraz sekretarze KC: Bolesław Jaszczuk, Mieczysław Moczar i Ryszard Strzelecki, a także „wezvani na posiedzenie”: kierownik Wydziału Administracyjnego KC Stanisław Kania, minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski, minister spraw wewnętrznych Kazimierz Świata i komendant główny MO gen. Tadeusz Pietrzak. W trakcie tej narady zebrany przekazano między innymi informację o śmierci poprzedniego dnia dwóch milicjantów. Była to ewidentnie wiadomość nieprawdziwa,

która jednak z pewnością miała decydujący wpływ na podjęcie decyzji i określenie warunków użycia broni palnej. 14 grudnia w ogóle nie było ofiar śmiertelnych, a dwóch milicjantów zginęło w czasie całej rewolty w grudniu 1970 r. Ponieważ naprawdę trudno uwierzyć w to, żeby w tak ważnej sprawie, jak kwestia ewentualnych ofiar śmiertelnych wśród milicjantów, mogła zajść przypadkowa pomyłka, nieodparcie nasuwa się wniosek, że tę nieprawdziwą wiadomość celowo podsuwano Gomułce. Osoby, które to zrobiły, zapewne liczyły na jego jeszcze większe wzburzenie i na to, że w konsekwencji podejmowanych przez niego pod wpływem tego typu informacji decyzji, sytuacja polityczna w kraju ulegnie dalszemu zaognieniu.

Do tragicznego rozwoju wydarzeń na Wybrzeżu przyczyniał się dodatkowo chaos kompetencyjno-decyzyjny, jaki panował w Trójmieście, gdzie powstało kilka ośrodków kierowania i dowodzenia - łagodnie mówiąc - słabo ze sobą współpracujących. To z kolei było następstwem faktu, że na Wybrzeżu znalazło się trzech członków Biura Politycznego: Zenon Kliszko, Ignacy Loga-Sowiński i Stani-

ślaw Kociołek oraz pozostający w dobrych relacjach z Gomułką wiceminister obrony narodowej gen. Grzegorz Korczyński, a także bliiski Gierka i Mocзара wiceminister spraw wewnętrznych gen. Franciszek Szlachcic. Wszystkie te osoby, nie bacząc na własne kompetencje (lub ich brak) pragnęły dowodzić i wydawać nierządno sprzeczne ze sobą polecenia i rozkazy.

Tymczasem w Warszawie w gmachu KC zaczęły się odbywać nieformalne - jak to później określili Józef Tejchma - rozmowy „niegrupowe”. „Byłem uczestnikiem - wspominał po latach - a nawet jednym z głównych inicjatorów tych rozmów. Pojawiła się i utrzymała we mnie myśl, że Gomułka musi odejść natychmiast, jego dalsze próby sterowania sytuacją utraciły sens i pogarszały położenie. [...] Zadzwońnięm do Wojciecha Jaruzelskiego, bez niego nie było możliwe posunięcie polityczno-kadrowe najwyższego rzędu. Zadzwońnięm do sekretarza Warszawy Józefa Kępy, bez jego zgody nie było pewności, jak zachowa się aktyw partyjny stolicy. Rozmawiałem ze Stanisławem Kanią, który miał nadzór nad MSW. Kontaktowałem się

ze Stefanem Olszowskim, który kontrolował prasę. Mogło to wyglądać na spisek. Było to jednak połączenie chłodnej oceny ze spontaniczną reakcją na powstałą sytuację. Nie wiedząc nic pewnego o stanowisku Moskwy mogłem się domyślać, że nie sprzeciwi się rozwiązaniom zmierzającym do uspokojenia sytuacji w kraju”.

Na Kremlu także podjęto konkretne działania. 16 grudnia wieczorem premier Aleksiej Kosygin spotkał się z przebywającym w Moskwie wicepremierem Piotrem Jaroszewiczem. Poinformował go, że strona radziecka nie miałaby nic przeciwko zmianom na szczytach władzy, a gdyby do takiej zmiany miało dojść, to ich zdaniem najlepszym kandydatem na nowego I sekretarza KC PZPR byłby Gierek. Kosygin poinformował też Jaroszewicza, że zdaniem radzieckiego kierownictwa, to on byłby w aktualnej sytuacji najlepszym kandydatem na premiera. Ustallili także, iż nazajutrz Jaroszewicz wróci do Warszawy. Kosygin poinformował też Jaroszewicza, że równoległe z Gierkiem rozmawia Breżniew.

Wydarzenia w Polsce uległy tragicznemu „przyspieszeniu” 17 grudnia, kiedy to doszło do masakry w Gdyni

oraz najbardziej gwałtownych walk ulicznych w Szczecinie. W tej sytuacji przyspieszono działania wśród współpracujących ze sobą działaczy. Po rozmowie z gen. Jaruzelskim i telefonicznej konsultacji z Gierkiem, 18 grudnia wieczorem Kania i Szlachcic samochodem wyruszyli do Katowic. W willi Gierka odbyła się nocna rozmowa, w trakcie której przybyśsze przekonali gospodarza, że w zaistniałej tragicznej sytuacji w kraju powinien pojechać do Warszawy i zgodzić się zostać I sekretarzem KC PZPR.

W sobotę 19 grudnia zebrano się Biuro Polityczne. Pod nieobecność Gomułki, który został zabrany do szpitala, Gierek został oficjalnie zgłoszony Komitetowi Centralnemu jako jedyny kandydat na stanowisko I sekretarza KC PZPR. Nazajutrz, w niedzielę, o godz. 16.00 zebrało się VII plenum KC PZPR. KC został poinformowany, że Biuro Polityczne jednogłośnie zgłasza kandydaturę na funkcję I sekretarza KC PZPR. Czasu na dyskusję prawie nie było, gdyż nowy I sekretarz o godzinie 20.00 miał wystąpić z przemówieniem w telewizji. Tak kończyła się najbardziej gwałtowna, krwawa faza kryzysu z Grudnia '70.

GRUDZIEŃ '70 W GDAŃSKU I GDYNI

Detonatorem wybuchu społecznego niezadowolenia była ogłoszona przez władze PRL drastyczna podwyżka cen żywności, która tuż przed Bożym Narodzeniem 1970 r. uderzyła szczególnie w będących na dorobku młodych robotników. To właśnie oni stali się siłą napędową grudniowej rewolty i jej głównymi ofiarami

DR PIOTR BRZEZIŃSKI
(IPN GDANSK)

Partijni dygnitarze zdawali się bagatelizować sytuację. W dniu ogłoszenia podwyżki, w sobotę 12 grudnia 1970 r., do Stoczni Gdańskiej im. Lenina przyjechał wicepremier Stanisław Kociołek, który spotkał się z miejscowymi członkami PZPR, aby wytłumaczyć im sens podwyżki. Spotkanie okazało się kląpą. Jak relacjonował reporter Michał Mońko: „Słychać buczenie, tupanie, a wreszcie pokrzykiwania. Kociołek próbuje przekonywać stoczniowców do swoich racji. Mówi coraz głośniej, coraz agresywniej, coraz bezczelniej. Ale w ogólnym chaosie jego wypowiedzi nie trafiają do ludzi”. W końcu wzburzeni stoczniowcy ostantacyjnie wyszli. Mimo to Kociołek nie powiedział Władysławowi Gomułce, że stoczniowcy są przeciwni podwyżce.

„Co ja wam tu mogę pomóc”

W poniedziałek 14 grudnia rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej. Krótco po godz. 6 pracę przerwały pierwsze wydarzenia. W ślad za nimi poszły następne. Około godz. 10 przed budynkiem dyrekcji zgromadziło się kilka tysięcy robotników, domagających się odwołania podwyżki, podniesienia pensji i przybycia do stoczni przedstawicieli władz partyjnych. Przed południem kilkusetosobowy pochód udał się pod gmach KW PZPR. I sekretarz Alojzy Karkoszka przebywał wtedy w Warszawie na plenarnym posiedzeniu KC. Rozmowę z robotnikami zainicjował jego zastępca Zenon Jundziłł, który wezwał ich do powrotu do pracy, dodając przy tym nieporadnie: „Co ja wam tu mogę pomóc”. Manifestanci wybuchnęli śmiechem. Część z nich wróciła do stoczni, inni poszli na politechnikę, aby wezwać studentów do poparcia strajku. Jeszcze inni udali się do budynku Polskiego Radia, chcąc nadać komunikat o strajku na cały kraj. Aparatura nadawcza została jednak zawczasu zdemontowana. Warto dodać, że od rana wśród

manifestantów działała 200-osobowa grupa ubranych po cywilnemu milicjantów, którym powierzono zadanie fotografowania uczestników demonstracji i prowadzenia tzw. działań dezintegracyjnych.

Niebawem do strajku dołączyły kolejne zakłady, a po południu zaplanowano ponowny wiec pod KW PZPR. Tuż przed godz. 16 pokojowa manifestacja została brutalnie zaatakowana przez oddziały milicji w rejonie wiaduktu Błędnik przez oddziały milicji. Atak spowodował demonstrantów do obrony i zapoczątkował kilkugodzinne walki uliczne, które z czasem przeniosły się w rejon dworca PKP i budynku KW PZPR. Doszło wtedy do pierwszych prób podpalenia „domu partii”. W trakcie walk obrażenia odniosło przynajmniej kilkadziesiąt osób, a milicja aresztowała 330 manifestantów. Spalono dwa kioski i zdemolowano szesnaście sklepów, z których dziesięć obrabowano.

Podpalenie „Reichstagu”

Rankiem 15 grudnia kolejna demonstracja udała się pod Komendę Miejską MO przy al. Świerczewskiego (obecnie ul. Nowe Ogrody). Manifestanci domagali się uwolnienia aresztowanych poprzedniego dnia kolegów. Doszło do ostrych walk ulicznych, podczas których funkcjonariusze MO użyli broni palnej. Padli pierwsi zabici. Co ciekawe, pierwsza ofiara została zastrzelona około godz. 9, czyli na kilka godzin przed tym zanim wydane przez Władysława Gomułkę polecenie o użyciu broni zostało przekazane do Gdańska. Co więcej, Gomułka podjął tę decyzję w oparciu o fałszywą - jak się później okazało - informację mówiącą, że w Gdańsku zabito tego dnia dwóch milicjantów.

Odepchnięci spod komendy KM MO demonstranci zdewastowali siedzibę Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych i podpalili

**POSTULATY
ROBOTNIKÓW MIAŁY
CHARAKTER TYPOWO
SOCJALNY: PODNIEŚĆ
MINIMALNE
WYNAGRODZENIE,
ZMNIJSZYĆ ROZPIĘ-
TOŚĆ ZAROBKÓW,
ZREKOMPENSOWAĆ
PODWYŻKĘ CEN
ŻYWNOCI ITP.**

gmach KW PZPR. Według szacunków MSW, w manifestacjach uczestniczyło około 20-30 tys. ludzi. Po godz. 15 demonstranci zostali wyparci spod gmachu KW PZPR. Zgodnie z oficjalnymi danymi, tego tragicznego dnia śmierć poniosło sześciu manifestantów. Jeden funkcjonariusz ZOMO został ciężko pobity i zmarł kil-

kanaście dni później, a jeden milicjant zmarł po dwóch dniach w wyniku zatrucia gazami, którego nabawił się podczas rozprawiania manifestacji. W sumie, rannych zostało przynajmniej 300 osób. Około 500 osób aresztowano, z czego 130 zatrzymano pod zarzutem kradzieży. W trakcie całonocnych walk ograbiono i zdemolowano 54 sklepy, spalono gmach KW PZPR (nazywany odtąd przez gdańszczan „Reichstagem”) i siedzibę Naczelnej Organizacji Technicznej. Częściowo spalone zostały również budynki KM MO i dworca PKP.

Wieczorem 15 grudnia Stanisław Kociołek wygłosił przemówienie radiowo-telewizyjne, w którym wezwał gdańszczan do powrotu do pracy. Mimo to, nocą z 15 na 16 grudnia wojsko otoczyło Stocznia im. Lenina. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji nie podjęto w niej normalnej pracy. Około godz. 8 grupa kilkuset młodych robotników wyszła przed bramę nr 2. Prawdopodobnie chcieli sforsować demonstracyjny pochód, lecz zostali ostrzelani przez żołnierzy blokujących stocznia. Dwie osoby zginęły na miejscu, a kilkanaście zostało rannych. Stoczniowcy postanowili kontynuować strajk okupacyjny. W skład komitetu strajkowego wchodził: Jerzy Górski, Zbigniew Jarosz (przewodniczący), Stanisław Oziębło, Ryszard Podhajski, Kazimierz Szołoch, Lech Wałęsa i Zofia Zejser. Przesłana strajkującym wieczorem, za pośrednictwem dyrektora stoczni, przez gen. Grzegorza Korczyńskiego groźba zbombardowania zakładu skłoniła ich jednak do zakończenia protestu i opuszczenia stoczni nocą z 16 na 17 grudnia. Około południa 18 grudnia jako ostatni strajk zakończyli pracownicy Zarządu Portu Gdańsk. Tym samym, gdańska rewolta została spacyfikowana.

Prowokacyjne aresztowania w Gdyni

Protest w Gdyni miał zupełnie inny charakter. Rankiem 15 grudnia 1970 r. zastrajkowali pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej. Za ich przy-

kładem poszli portowcy i pracownicy innych zakładów. Ludzie uformowali pochód, który pomaszerował pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (obecnie Urząd Miasta). Poszli tam, bo w Komitecie Miejskim PZPR nikt nie chciał z nimi rozmawiać, a I sekretarz Hugon Malinowski uciekł na ich widok do sztabu Marynarki Wojennej.

Jan Mariański, przewodniczący PMRN, poprosił demonstrantów, aby wybrali kilkusetosobową delegację. W przeciwnieństwie do gdańszczan, gdynianie sprawnie wybrali swoich reprezentantów, którzy weszli do Prezydium. Ludzie zgromadzeni na ulicy w napięciu oczekiwali na wynik negocjacji. W końcu Mariański uznał strajk za legalny i zawarto pisemne porozumienie. W tym czasie w Gdańsku płonął już gmach KW PZPR.

Postulaty robotników miały charakter typowo socjalny: podnieść minimalne wynagrodzenie, zmniejszyć rozpiętość zarobków, zrekomensować podwyżkę cen żywności itp. Demonstranci nie podważali ani socjalistycznego ustroju PRL, ani monopolu władzy PZPR. Jak meldowali obserwujący ich funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa: „Wszyscy zgromadzeni wypowiadali się za PZPR, za ustrojem socjalistycznym, wyrażali natomiast niezadowolenie, co do ostatniej podwyżki”. Nie było to żadne „powstanie” ani „kontrewolucja”, lecz protest w obronie godnego życia.

Po zawarciu porozumienia robotnicy wrócili do swoich zakładów i zawiązali Główny Komitet Strajkowy dla miasta Gdynia - protoplastę Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z 1980 r. W skład jego prezydium weszli: Izydor Chłędowski, Edmund Hulsz, Włodzimierz Ilnicki, Kazimierz Kalkowski, Jerzy Kowalczyk, Krzysztof Muskała, Marek Piasecki, Stanisław Słodkowski (przewodniczący) i Weronika Szymańska. Komitet planował zorganizowanie strajku okupacyjnego i przystąpił do opracowywania ulotek. Nie było mowy o demonstracjach i walkach ulicznych. Mimo to, komu-



Starcia uliczne w gdyński „Czarny Czwartek” trwały do godz. 14

FOT. ARCHIWUM IPN



Odepchnięci spod gdańskiej komendy KM MO demonstranci podpalili siedzibę WKZZ i gmach KW PZPR

niści postanowili zakończyć jego funkcjonowanie. Nocą z 15 na 16 grudnia siły MO i ZOMO wtargnęły do siedziby komitetu strajkowego. Brutalnie pobito jego członków, a następnie aresztowano i wywieziono do więzienia w Wejherowie.

Aresztowanie członków komitetu nosiło znamiona prowokacji. Po pierwsze, oburzyło gdyńskich robotników, którzy natychmiast zaczęli domagać się ich uwolnienia. Po drugie, pozbawiło gdyńskich sprawnych przywództwa, a tylko ono mogło odwieść ich od pójścia do pracy feralnego 17 grudnia, kiedy to władze centralne zdecydowały się zamknąć Stocznnię im. Komuny Paryskiej. O zamknięciu stoczni zdecydowały zresztą w dużej mierze niepokojące meldunki funkcjonariuszy MSW, które zaczęły dochodzić z Gdyni po aresztowaniu komitetu strajkowego. Później okazało się, że część z nich była mocno przesadzona. Wyglądało to wręcz tak, jakby komuś specjalnie zależało na sprowokowaniu władz centralnych do siłowego stłumienia gdyńskiego protestu.

Do dziś nie wiadomo, czy wieczorne wystąpienie radio-telewizyjne Stanisława Kociołka z 16 grudnia było jedynie tragiczną pomyłką, czy elementem celowej prowoka-

cji. Fakty są jednak takie, że w chwili, gdy wojsko przygotowywało się do blokady stoczni, Kociołek - jak gdyby nigdy nic - wezwał gdyńskich robotników do stawienia się w pracy. Większość z nich z ulgą odebrała apel wicepremiera i postanowiła nazajutrz wrócić do pracy. Tym razem wystąpienie Kociołka pociągnęło za sobą jeszcze większe ofiary, niż dzień wcześniej w Gdańsku.

Poszli prosto pod lufy

W czwartek 17 grudnia od rana pociągi podmiejskie co kilka minut dowoziły setki ludzi na przystanek Gdynia Stocznia. W okolicznych zakładach pracowało wtedy ponad 30 tys. osób. Co więcej, z powodu remontu trakcji elektrycznej musieli tutaj przesiadać się wszyscy pasażerowie Szybkiej Kolei Miejskiej, także ci jadący do Gdańska i Wejherowa. Dziś jest to mało uczęszczane miejsce, lecz pięćdziesiąt lat temu tętniło życiem. Zagęszczenie ludzi, w połączeniu z panującym na peronie zamieszaniem, musiało wywołać panikę. Potężniejący z każdą chwilą tłum ludzi nie dostrzegł śmiertelnego zagrożenia. Było jeszcze ciemno. Na nic zdały się ogłaszane przez głośniki komunikaty o zamknięciu stoczni, gdyż nie wszyscy je

śłyszeli, a nawet jeśli śłyszeli, to nie do końca w nie wierzyli. Ludzie, zamiast się wycofać - zawieszonym nad peronem wąskim pomostem lub wprost przez torowisko - w stronę ul. Czerwonych Kosynierów (obecnie ul. Morska), poszli wprost pod karabinowe lufy. Do dziś zresztą nie wiadomo, dlaczego - skoro chodziło o blokadę stoczni - żołnierze ustawieni byli tuż za przystankiem, czyli aż kilometr od stoczni. Czyżby planując tę operację wojskowi nie zdawali sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa? A może właśnie zależało im na wywołaniu dodatkowego zamieszania.

ZAPĘDZANO ICH DO BUDYNKU PMRN. TAM BYLI OKRUTNIE BICI I POKRZYKIWANI TAKIM TORTUROM, JAK NP. OBCINANIE WŁOSÓW NOŻEM. TEJ NIEWIARYGODNEJ BRUTALNOŚCI MILICJI NIE DA SIĘ LOGICZNIE WYTŁUMACZYĆ

„Padła komenda ostrzegawcza dowódców: »Nie zbliżać się, bo wojsko będzie strzelać!« - wspominał płk Eugeniusz Stefaniak. - Nadal bez skutku. Wówczas padł wystrzał armatni z czołgu - dla postraszania. Efekt huk, błysku i świstu był piorunujący. Pocisk poszybował na przeciwnym wzgórzu. Na 30-40 sekund gromada ludzka zastygła w bezruchu. Po chwili rozległy się głośnie wołania: »Chłopaki, oni strzelają ze ślepek, chodźmy, pokażemy tym gnojkom!«. Tłum nieśmiało ruszył». Niektórzy chwycili za kamienie, inni obrzucali żołnierzy wywiskami. Ci zaś, zgodnie z rozkazem, zaczęli strzelać. Serie z karabinów maszynowych zebrały krwawe żniwo. „Ja sobie nawet nie zdawałem z tego sprawy, że tam człowiek w ogóle mógł zginąć. To w ogóle do głowy mi nie przychodziło. Pamiętam, jak myśmy tych ludzi wynosili i płakali. A ile krwi na tym pomoście było. Ja sam wyniosłem z osiem osób przynajmniej” - wspominał Sławomir Grześkowiak. Stłoczonych na przystanku ludzie zaatakowały też helikoptery. Zrzuciły petardy i gazy łzawiące. Świadczyli też, że strzelano z helikopterów z broni maszynowej. Inni wspominają najpierw strzelających z okolicz-

nych bloków. W sumie w okolicach przystanku Gdynia Stocznia zginęło tego dnia - według oficjalnych danych - 13 osób. Najmłodsza z nich miała zaledwie 15 lat.

Gdynia poniosła karę za Gdańsk

Około godz. 9 na ul. Czerwonych Kosynierów ludzie podnieśli ciało jednego z zabitych (najprawdopodobniej 18-letniego Zbigniewa Godlewskiego) i ruszyli przez miasto niosąc jego ciało na drzwiach. Doszli aż do gmachu PMRN. Tam rozpędziły ich siły porządkowe. „Byliśmy po prostu wściekli - wspominała idąca w pochodzie Ewa Jażdżewska. - I wydawało nam się, że musi to zobaczyć świat, bo to jest niewyobrażalne”. Pochód ten opisuje „Ballada o Janku Wiśniewskim”.

W okolicy przystanku Wzgórze Nowotki (obecnie Wzgórze św. Maksymiliana) uzbrojeni w kamienie manifestanci wdali się w regularną walkę z milicją. Zginęło kolejne 5 osób. Starcia uliczne trwały do godz. 14. Do wieczora milicjanci urządzali natomiast łapanki na przechodniów. Sprawdzali ich ręce. Ci, którzy mieli je zabrudzone, byli aresztowani, jako podejrzani o udział w starciach. Zapędzano ich do budynku PMRN. Tam byli okrutnie bici i poddawani takim torturom, jak np. obcinanie włosów nożem. Też niewiarygodnej wręcz brutalności milicji nie da się logicznie wytłumaczyć. Wielu świadków tamtych wydarzeń uważa, że Gdynia poniosła karę za Gdańsk, za zniszczenia sklepów i spalanie siedziby PZPR. Możliwe też, że komuniści ukarali Gdynię za zorganizowanie sprawnie działającego komitetu strajkowego. Z ich perspektywy był on bardziej niebezpieczny od największej ulicznej manifestacji, wytrącał bowiem eksponowany przez pelerelowską propagandę argument, że za grudniowymi protestami stali zwykli chuligani i kryminaliści.

Według oficjalnych danych, 17 grudnia na ulicach Gdyni żołnierze i milicjanci zabili 18 młodych mężczyzn. Większość z nich stanowili chłopcy w wieku 15-20 lat. Podobnie było z rannymi. Spośród 75 postrzelonych tego dnia osób, zaledwie trzy przekroczyły trzydziestkę. Wśród zabitych w Gdyni było jedenastu robotników, sześciu uczniów i jeden student.

Do manifestacji i walk ulicznych doszło też w Elblągu i Słupsku. 18 grudnia milicjanci zastrzelili młodego elblązanina, który wcale nie brał udziału w demonstracjach. Władze komunistyczne kazały pochować swoje ofiary

nocą, w asyście funkcjonariuszy SB, dopuszczając do pogrzebu tylko najbliższą rodzinę. Na uczestników rewolty spadły surowe represje, zwolnienia z pracy i różnorodne szykany ze strony bezpieki. W sumie, na terenie całego województwa gdańskiego, aresztowano wtedy 2 300 osób.

Przeostroga na przyszłość

Grudzień '70 był buntem pokoleniowym, wywołanym przez wchodzącą w dorosłość generację powojennego wyżu demograficznego. Ludzie ci nie akceptowali otaczającej ich szarej rzeczywistości, a jednocześnie - jak wykazuje analiza grudniowych postulatów - wcale nie zamierzali obalać ustroju PRL, a tylko go usprawnić i zrjonalizować. Nawet tak skromny katalog społecznych żądań okazał się nieakceptowalny dla bojących się utraty władzy komunistów.

Z perspektywy półwiecza Grudzień '70 stanowi też ponurą przeostrogę. Przeostrogę przed tym, do czego doprowadzić mogą, nie licząc się z głosem własnego społeczeństwa, oderwane od rzeczywistości, deptryczne rządy, które w obronie swojej władzy i przywilejów nie wahają się użyć brutalnej siły przeciwko bezbronnym obywatelom. W zderzeniu z nimi zwykli ludzie - a takimi en masse byli uczestnicy grudniowej rewolty - nie mają większych szans na wygrana. Tym bardziej należy więc docenić ich odwagę i poświęcenie, pielegnować pamięć o nich i dbać o to, aby w naszym kraju nigdy więcej nie powtórzyły się równie tragiczne wydarzenia.



Więcej informacji na temat osób zabitych podczas grudniowej rewolty znaleźć można w książce Piotra Brzezińskiego, Roberta Chrzanowskiego i Tomasa Słomczyńskiego „Pogrzebani nocą. Ofiary Grudnia '70 na Wybrzeżu Gdańskim. Wspomnienia, dokumenty”. Wyd. Polska Press sp. z o.o., Gdańsk 2015.

REWOLTA GRUDNIOWA 1970 R. W SZCZECINIE

W PRL pod koniec lat sześćdziesiątych narastał kryzys społeczny, polityczny i ekonomiczny. Władze sięgnęły po nieudolne reformy gospodarcze, chcąc ratować niekorzystną sytuację w kraju, a zwiastunem reform miała być tzw. regulacja cenowa (podwyżka cen), obejmująca głównie podstawowe artykuły spożywcze. Wprowadzono ją w niedzielę, 13 grudnia 1970 roku

DR HAB. SEBASTIAN
LIGARSKI (NACZELNIK
ODDZIAŁOWEGO BIURA
BADAŃ HISTORYCZNYCH
IPN SZCZECIN)

W efekcie kolejnej „operacji cenowej”, niewiele tracili osoby o najniższych dochodach. Rząd zamierzał zrekompensować podwyżkę m.in. poprzez dodatki do pensji dla najniższej uposażonych i rodzin wielodzietnych. Tak drastyczny wzrost cen spowodował reakcję społeczeństwa, nie tylko w Gdańsku czy Gdyni, ale również w Szczecinie i całej Polsce.

Do 17 grudnia w Szczecinie panował spokój, choć w raportach SB odnotowywano napiętą sytuację w zakładach pracy. Tego dnia około godziny 10.00 odbył się w Stoczni im. Adolfa Warskiego wiec, podczas którego domagano się odwołania podwyżki cen oraz rozmowy z I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie Antonim Walaszkiem. Rozmowy jednak nie odbyły się, a Walaszek miał stwierdzić, że z „motłochem rozmawiać nie będzie”. O godzinie 10.30 ponad sześćset stoczniowców opuściło stocznnię. Po sformowaniu pochodu i dołączeniu do niego pracowników pobliskich przedsiębiorstw, wyruszone w stronę KW PZPR. Siły porządkowe nie chciały dopuścić, by robotnicy przelali się do centrum, zaatakowały ich. Doszło do gwałtownych starć, które trwały przez cały dzień i objęły po pewnym czasie dużą część miasta. Sformowano kilka następnych pochodów, które za cel obrały budynek KW PZPR przy pl. Żołnierza Polskiego. Zbierający się przy nim ludzie zaczęli rzucać w niego kamieniami i butelkami z benzyną. Spowodowały one pożar, który ogarnął cały budynek. I sekretarz KW PZPR Antoni Walaszek podjął decyzję o jego ewakuacji, zaś tłum nie dopuścił strażą pożarnej do budynku. Do miasta ściągnięto posiłki wojskowe, w tym te, które wcześniej pacyfikowały Gdańsk i Gdynię. Około godziny czternastej tłum wokół budynku Polskiej Zjed-



W dniach 17-19 grudnia 1970 r. w Szczecinie zginęło 16 osób, w większości bardzo młodych

noczonej Partii Robotniczej (PZPR) liczył w przybliżeniu 20 tys. osób. Mniej więcej dwie godziny później rozpoczęto także szturm na Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej (KW MO) przy ul. Małopolskiej i wojewódzki areszt śledczy, w którym jakoby przebywać mieli aresztowani wcześniej demonstranci oraz przedstawiciele domniemanego Komitetu Strajkowego ze Stoczni im. Warskiego. Budynek również podpalono. Według Michała Paziewskiego pierwsze strzały z okien komendy wojewódzkiej milicji w kierunku ludzi padły

**NASTĘPNEGO DNIA
LUDZIE ZBIERALI SIĘ
OD RANA NA
PL. ŻOŁNIERZA
POLSKIEGO
W SZCZECINIE. TŁUM
ZAATAKOWAŁ TAM
WOZY PANCERNE
KAMIENIAMI
I BUTELKAMI
Z BENZYNĄ**

około godziny 15.30. Z zachowanych rozmów telefonicznych pomiędzy komendantem wojewódzkim MO płk. Julianem Urantówką a komendantem głównym MO gen. Tadeuszem Pietrzakiem wynikało, że znajdujący się w komendzie funkcjonariusze mieli bronić się jak najdłużej bez użycia broni:

Julian Urantówka: Rzucają kamieniami.

Tadeusz Pietrzak: Rzucają kamieniami?

Julian Urantówka: Tak.
Tadeusz Pietrzak: Urantówka, uważam, podejmijcie sami decyzję, kiedy trzeba użyć broni.

Julian Urantówka: Towarzyszu Ministrze, dopóki nie będą wkraczać do gmachu, brońmy się, nie będziemy używać.

Tadeusz Pietrzak: Rozumiem.
Julian Urantówka: Tak.
Tadeusz Pietrzak: Wyłączam się, organizuj obronę. Czołem!

Niedługo po tej rozmowie w wyniku działań wojska i milicji pod komendą zginęło dwanaście osób. Podobnie jak w Trójmieście, w Szczecinie wprowadzono godzinę milicyjną od 18.00 do 6.00. Do walk doszło jeszcze w kilku innych miejscach w mieście (Prokura-

kowo sformułowano pięć żądań do władz, by z biegiem czasu i dołączeniu kolejnych zakładów do strajku dodawać kolejne postulaty. W nocy z piątku na sobotę utworzono w „Warskim” ponadzakładowy komitet strajkowy (Ogólnomiemiejski Komitet Strajkowy [OKS]), który za podstawę działania przyjął 21-punktowe żądania rezolucji „Warskiego” i Stoczni „Gryfia”. Władze podjęły pertraktacje ze strajkującymi w chwili, gdy w Biurze Politycznym KC PZPR dochodziło do zmian personalnych. Łącznie w OKS zaangażowanych było około 100 zakładów pracy. Pełnił on de facto najważniejszą rolę w mieście, gdyż decydował o wznowieniu ruchu tramwajowego czy „funkcjonowaniu elektrowni, gazowni, komunikacji, straży pożarnej, wodociągów czy o zaopatrzeniu sklepów”. Do podpisania ustaleń, pomiędzy OKS a regionalnymi władzami partyjnymi, doszło 20 grudnia 1970 r. Były one korzystne dla władz i stąd rozgoryczenie protestujących, którzy nie wahali się nazwać członków OKS zdrajcami. Nie chcieli zakończyć strajku i zdecydowano się na jego kontynuowanie. Do starć z wojskiem doszło też pod stocznią. W kilku innych punktach miasta, gdzie robotnicy próbowali formować pochody i atakować budynki instytucji państwowych kojarzonych z władzą, też użyto broni palnej. Tego dnia zatrzymano ogółem ponad 200 osób, w większości ludzi młodych lub bardzo młodych. W następnych dniach nadal dochodziło w mieście do potyczek z użyciem broni przez wojsko i milicję. W dniach 17-19 grudnia 1970 r. w Szczecinie zginęło 16 osób, w większości bardzo młodych.

18 grudnia w kilku szczecińskich zakładach doszło do proklamowania strajku (Stocznia „Parnica”, Port, Stocznia im. „Warskiego”, Stocznia Remontowa „Gryfia”). Największy Komitet Strajkowy powstał w Stoczni im. „Warskiego”. Liczył 10 osób, a na jego czele stanął Mieczysław Dopierała. Począ-

DR HAB. SEBASTIAN
LIGARSKI

W nocy z 12 na 13 grudnia 1970 r. władze dokonały w kraju podwyżki cen. Jej celem było powstrzymanie narastającego kryzysu gospodarczego. Wobec faktu, że system ekonomiczny PRL cierpiał na chroniczny niedobór wszystkiego, akcja ta nie miała szans powodzenia.

33 strajki poza Wybrzeżem

12 grudnia odbyły się zebrania z aktywnym partyjnym, na których tłumaczono zasady podwyżki oraz system tzw. bodźców materialnych, który miał osłabić jej siłę. Niektóre spotkania przebiegały w milczeniu, inne w niezwykle gorącej atmosferze, jak w Łodzi, gdzie jedna z kobiet przerwała wystąpienie sekretarza Komitetu Dzielnicowego PZPR i ze słowami: „dosyć już tych podwyżek, nie mamy siły pracować, bo przymieramy z głodu” opuściła salę obrad. W innym miejscu dopytywano, czy prawdą było, iż milicjanci i żołnierze dostali podwyżkę płac, oraz domagano się wyjaśnienia, dlaczego nikt nie wystąpił w mediach, aby poinformować społeczeństwo o tej decyzji. To ostatnie nie do końca było prawdą, bo tego samego dnia wieczorem premier Józef Cyrankiewicz wystąpił w telewizji informując o mających nastąpić zmianach cen. Podobne pytania i oceny miały miejsce w całej Polsce.

Pierwsza kontestacja systemu w grudniu 1970 r. miała postać napisów na murach oraz ulotek i odnotowano ją już w noc samej operacji. Wzywano w nich do masowego nieposłuszeństwa wobec władz. Jedną z podstawowych form protestu społeczeństwa wobec ogłoszonej podwyżki były strajki. W ciągu całego grudnia odnotowano ich 33 poza Wybrzeżem, brało w nich udział około 12 500 osób. Wiele z nich miało krótkotrwały charakter i po rozmowach z dyrekcją lub przedstawicielami władz lokalnych szybko się zakończyły. Zazwyczaj oferowano ludziom rekompensaty lub wypłaty premii, aby tylko ukorzyć ich gniew. Niekiedy tłumaczono, że dyrekcje zakładu nie miały żadnych możliwości, aby pomóc robotnikom. Strajki w swojej początkowej fazie zmierzały ku wywarciu presji na władze, aby odwołać podwyżkę cen i poprawić życie codzienne strajkujących.

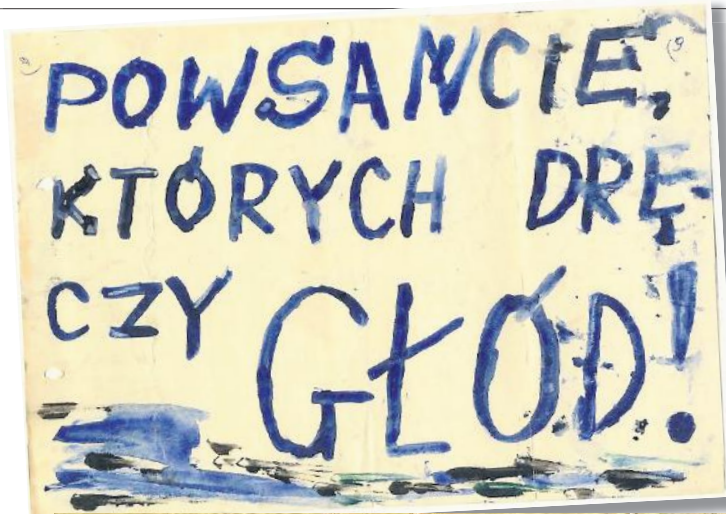
Sytuację podgrzewały nieoficjalne informacje

z Gdańska, które pomimo blokady, docierały w głąb kraju. Zaowocowały one wzrostem napięcia i wybuchem protestów solidarnościowych w niektórych miejscach, jak np. w Słupsku, gdzie do pracy nie przystąpiła I zmiana w Zakładach Przemysłu Okrętowego. Sytuacji nie uspokoił komunikat PAP 16 grudnia 1970 r. Wręcz przeciwnie, potwierdził on tylko informacje napływające z Wybrzeża i spowodował eskalację konfliktu.

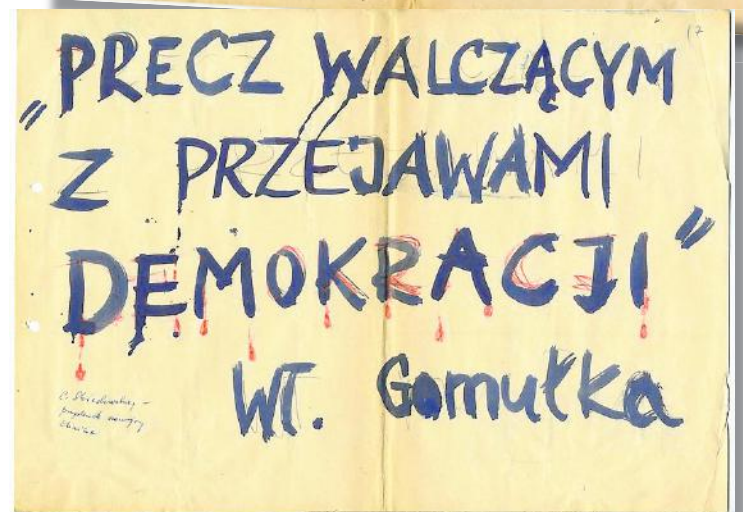
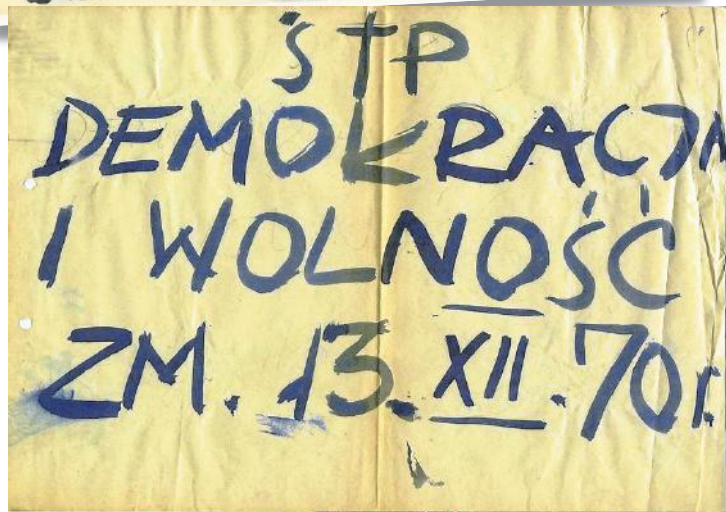
Demonstrowano w Krakowie, Elblągu i Słupsku

Do protestów i starć z milicją oraz wojskiem doszło w kilkudziesięciu miejscach w kraju (m.in. w Słupsku, Białymstoku, Krakowie, Bydgoszczy, Chorzowie, Olsztynie, Wałbrzychu). W miastach pojawiły się ulotki: „Precz z czerwonymi katami Gdańska”, „Śmierć mordercom robotników w Gdańsku”, „Precz z rządem ucisku. Niech żyją elementy w Gdańsku”, „Mordercy w rządzie”, „Wolność nie zna ceny - mordercy są w ORMO, UB i MO”, „Mordercy precz”, „Niech żyje rok 1956”, „Dziewczęta!!! Jako przyszłe matki nie pozwólmy na to, aby w okresie pokoju ginęły pod gąsienicami czołgów matki z dziećmi! Aby puszczano psy na ludzi, którzy walczą o swoje prawa. Niech żyje prawdziwa wolność!”, „Patrioci powstańmy, bo na Pomorzu rzeź”, „Niech żyje antykomunistyczne Wybrzeże!” i napisy na murach: „MO równa się SS”, „Polacy do broni. Solidaryzujemy się z Gdańskiem”. Narastająca złość potęgowana była przez plotki dotyczące liczby ofiar. Stefan Kisielewski zanotował w swoim dzienniku liczbę około 200-300 zabitych, Mieczysław Jastrun „liczących zabitych”.

Do największych demonstracji, poza Wybrzeżem, doszło w Krakowie, Elblągu i Słupsku. W stolicy Małopolski 16 grudnia pojawiły się w akademikach ulotki wzywające do udziału w wiecu. „Wieczorem licząca 100 osób grupa młodzieży wznosiła w rejonie rynku okrzyki: »Niech żyje Gdańsk«, »Pomścimy Gdańsk«, »Przyłączcie się do nas«. Demonstrację zakończono, kiedy przybyły oddziały ZOMO. 17 grudnia na rynku zebrało się od 600 do ponad 3 tys. osób (w źródłach pojawiają się różne liczby), które wznosiły antykomunistyczne okrzyki, śpiewano Międzynarodówkę. Podczas wielogodzinnej manifestacji usiłowano wznosić barykady. Demonstrację rozproszyły duże siły ZOMO, ROMO i WP. Zatrzymano 102 osoby”. W ciągu kilku kolejnych dni sy-



Podobne ulotki ukazywały się w wielu miejscach w Polsce



FOT. APN

CZY TYLKO WYBRZEŻE? GRUDZIEŃ 1970 ROKU W POLSCE

W powszechnej opinii Rewolta Grudniowa 1970 r. skoncentrowana była w trzech miastach na Wybrzeżu (Gdańsk, Gdynia i Szczecin) oraz Elblągu. Nic bardziej mylnego. Protest przeciwko przedsięwziętej podwyżce cen objął w praktyce cały kraj, a strach przed gniewem „mas pracujących miast i wsi” był we władzach tak ogromny, że przygotowywały się one do obrony gmachu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie

tacja się powtarzała, co zaowocowało ogłoszeniem wcześniejszych ferii oraz odcięto prąd i ogrzewanie w akademikach.

W Słupsku do największych walk doszło 17 grudnia. Tego dnia, około godz. 17:00, grupy młodzieży zbierały się w centrum miasta, a ich liczebność w tym miejscu urosła do około 500 osób. Według SB, byli to młodzi robotnicy ubrani w ortalionowe kurtki oraz ci, których „określa się jako »urodzeni w niedzielę« i pospolicie chuligani”. Już około godziny 17:30 rozpoczęła się pacyfikacja prowadzona przez oddziały ZOMO. Około godziny 20 zakończono akcję. Niemniej, w ciągu kilku kolejnych dni, nieustannie patrolowano miasto, natychmiast reagując na młodzież stojącą po kilka osób. W nie-

których przypadkach używano pałek, aby zmusić młodych ludzi do rozejścia się do domów.

Aresztowano pasażerów

W Elblągu 18 grudnia doszło do starć z milicją i wojskiem. Na wieść o wykupowaniu przez młodzież materiałów łatwopalnych władze postanowiły otoczyć kilka budynków użyteczności publicznej kordonem sił „porządkowych” i przygotowywały się na odparcie ataków. Około godz. 15:00, 200 osobowa grupa próbowała podpalić Komitet Miejski i Powiatowy PZPR, lecz nie udało się jej tego dokonać. Starcia z milicją i wojskiem trwały w okolicach ulicy 1 Maja, a tłum atakował pocztę, bank, centralę telefoniczną oraz czołgi. W wyniku starć śmierć

poniósł Tadeusz Sawicz. Milicja i wojsko do późnych godzin popołudniowych pacyfikowały miasto.

O podobnych zdarzeniach informowano z Białegostoku, gdzie podczas manifestacji oddano strzały w powietrze, a w Olsztynie aresztowano pasażerów jednego z pociągów, którzy wznosili antykomunistyczne hasła. Na Dolny Śląsk echa buntu na Wybrzeżu dotarły 15 grudnia 1970 r. Do największych akcji strajkowych w solidarności z Wybrzeżem doszło we Wrocławiu. 17 grudnia w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego pracę przerwało 500 osób, w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego około 2000 osób. W następnym dniu pracę przerwano w „Aspie” (200 osób), „Polarze” (120 osób). Języcz-

kiem u wagi był fakt, że w wielu z tych zakładów prowadzono produkcję „S” na zamówienie wojska. Ewentualne protesty budziły obawę, co do zachowania tajności tej produkcji. Należało, więc je zakończyć jak najszybciej. We Wrocławiu 17 i 18 grudnia ludzie wyszli na ulice, podobnie jak w Wałbrzychu, gdzie 18 grudnia młodzież uzbrojona w kije i kamienie dwukrotnie starła się z jednostkami ZOMO. Do strajków doszło także w Dzierżonowie, Biławie, Świdnicy, Wałbrzychu, Górze Śląskiej.

Nowy rząd zwlekał z odwołaniem podwyżek

Pomimo zmian na szczytach władzy (Gomułka zastąpił Gierek) nie doszło do uspokojeniu sytuacji w kraju. Trwały przez cały czas strajki, gdyż nowy

rząd nie odwołał podwyżki cen.

Stało się to dopiero po strajku włókniarek w Łodzi 1 marca 1971 r.

Rewolta grudniowa to bunt pokoleniowy, zawiedzionych nadziei i braku perspektyw ludzi młodych. Urodzeni w PRL, z wiarą, że ich byt będzie się poprawiał z roku na rok, w rytmie hasel propagandowych o wzroście gospodarczym i lepszym jutrze młodzież w całym kraju zderzała się z codziennością. Jej wyznacznikiem było 15-letnie oczekiwanie na mieszkanie, dni bezmięsne, notoryczne braki w sklepach, buble i marazm. O tragicznych warunkach bhp w zakładach nie wspominając. Potrzebna była iskra, aby wzniecić płomień. Iskrawą była podwyżka płac, a płomień rozpałał cały kraj.

ROBERT CHRZANOWSKI
(IPN GDAŃSKI)

Na ulicach Gdańska śmierć poniosło 8, w Gdyni 18, a w Elblągu 1 osoba. Dwie pozostałe to funkcjonariusze MO: Marian Zamroczyński, zlin czowany przez robotników 15 grudnia 1970 r. (zmarł dwa tygodnie później), i Jerzy Kozaczuk, który zmarł nagle 17 grudnia, najprawdopodobniej wskutek zatrucia środkami chemicznymi użytymi w czasie tłumienia demonstracji.

Pierwsze ofiary śmiertelne w Gdańsku padły 15 grudnia; zginęło wtedy 6 osób (Andrzej Perzyński, Waldemar Rebinin, Kazimierz Stojcki, Bogdan Sypka, Józef Widerlik, Kazimierz Zastawny). Natomiast 16 grudnia śmierć poniosły 2 osoby (Jerzy Matelski, Stefan Mosiewicz)

Sześć ofiar gdańskiego Grudnia zginęło od kul milicji i wojska, dwie osoby poniosły śmierć w innych okolicznościach (Kazimierz Stojcki został przejechany przez transporter opancerzony, a Bogdan Sypka zginął od uderzenia w słup, kiedy wyskakiwał z jadącej ciężarówki, którą próbował skierować na kordon milicji). Większość z nich, pięciu, pracowała w największym gdańskim zakładzie pracy, Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Pozostali byli pracownikami: pogotowia ratunkowego (Waldemar Rebinin), „Techmetu” w Pruszczu Gdańskim (Kazimierz Zastawny); natomiast Bogdan Sypka studiował na Akademii Rolniczej w Szczecinie.

Znane są dość dokładnie okoliczności i miejsca śmierci zabitych w Gdańsku. Andrzej Perzyński, Waldemar Rebinin, Kazimierz Stojcki i Bogdan Sypka zginęli w rejonie Dworca Głównego PKP i Komitetu Wojewódzkiego PZPR, czyli w ciągu ulic Podwale Grodzkie i Wały Jagiellońskie; Kazimierz Zastawny został zastrzelony na tyłach Komitetu na ulicy Garncarskiej, a Józef Widerlik w trakcie walk w rejonie Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej przy ówczesnej ulicy Świerczewskiego (obecnie Nowe Ogrody). Natomiast Jerzy Matelski i Stefan Mosiewicz zginęli od kul wojskowej blokady otaczającej Stocznice Gdańską im. Lenina 16 grudnia, kiedy żołnierze otworzyli ogień do wychodzących przez bramę nr 2 robotników.

Inaczej wygląda sytuacja w przypadku zabitych w Gdyni. Wszyscy zginęli lub odnieśli śmiertelne rany jednego dnia, w „czarny czwar-



W czasie Grudnia '70 w województwie gdańskim zginęło 29 osób

OFIARY GRUDNIA 1970 R. W WOJEWÓDZTWIE GDAŃSKIM

Brutalna pacyfikacja robotniczej rewolty przez władzę komunistyczną w województwie gdańskim kosztowała życie 29 osób.

27 z nich: robotnicy, studenci i uczniowie, padło ofiarą działań oddziałów milicji i wojska

tek”, 17 grudnia. W przeciwieństwie do Gdańska wszyscy ponieśli śmierć od kul. Ale podobnie jak w Gdańsku, najwięcej z nich, bo aż siedmiu, pracowało w głównym zakładzie pracy w mieście – Stoczni im. Komuny Paryskiej (Jerzy Kuchcik, Stanisław Lewandowski, Józef Pawłowski, Ludwik Piernicki, Jan Polechoński, Zygmunt Polito, Marian Wójcik). Większość pozostałych również była związana z branżą morską; byli pracownikami portu (Brunon Drywa, Zbigniew Godlewski, Jan Kałużny), Stoczni Marynarki Wojennej (Zbigniew Wycichowski), „Dalmoru” (Apolinary Formela) i Gdyńskiej Stoczni Remontowej (Zbigniew Nastaly, uczeń przyzakładowej szkoły zawodowej). Inni byli studentami (Waldemar Zajczonko, AWF w Gdańsku), uczniami szkół średnich (Stanisław Sieradzan, technikum, Janusz Żebrowski, liceum) i podstawowych (Zyg-

munt Gliniecki, Jerzy Skonieczka).

Odmienne niż w Gdańsku, dokładne okoliczności, a nawet miejsca śmierci niektórych zabitych w Gdyni do dziś są bliżej niezbrane i budzą kontrowersje. Powszechnie przyjmuje się, że zdecydowana większość z nich, 12 osób, zginęła w czasie dwóch starć z blokadą wojskową w rejonie stacji Gdynia-Stocznia; około godziny 6.00 (Brunon Drywa, Jan Kałużny, Jerzy Kuchcik, Józef Pawłowski, Ludwik Piernicki, Jan Polechoński, Zygmunt Polito i Marian Wójcik) i około godziny 9.00 (Zygmunt Gliniecki, Zbigniew Godlewski, Zbigniew Nastaly i Stanisław Sieradzan). Przez wiele lat jako miejsce śmierci Stanisława Lewandowskiego również podawano rejon stacji, jednak obecne badania wskazują, że został zastrzelony przy Pogotowiu Ratunkowym na ulicy Żwirki i Wigury. Pozostali (Apolinary

Formela, Jerzy Skonieczka, Zbigniew Wycichowski, Waldemar Zajczonko i Janusz Żebrowski) mieli ponieść śmierć na dość rozległym obszarze między ówczesnym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (ob. Urząd Miejski) a lasem przy Szkole Podstawowej nr 32 na ulicy Kieleckiej (ob. nie istnieje).

Jednak parę przypadków budzi wątpliwości. Apolinary Formela przez wiele dni po 17 grudnia był traktowany jako zaginiony, a sama Służba Bezpieczeństwa jako miejsce jego śmierci wskazywała plac Kaszubski, gdzie także milicja miała użyć broni. Także niektóre zeznania wskazują, że Stanisław Sieradzan nie zginął przy stoczni, lecz właśnie w rejonie Prezydium, i to nie od kuli, ale w wyniku pobicia (później sprawcy mieli strzelać do zwłok, aby zatuszować prawdziwą przyczynę śmierci).

Choć większość ofiar gdyńskich zginęła na miejscu,

część z nich zmarła w szpitalach po dłuższym czasie. Ostatnim z nich był Zbigniew Wycichowski, którego zgon nastąpił dopiero 11 stycznia 1971 r. To właśnie na nim władze zamknęły oficjalną listę zabitych w 1970 r.

Jedyną ofiarą śmiertelną w Elblągu był kierowca Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych, Tadeusz Marian Sawicz. Zginął 18 grudnia na ulicy 1 Maja przed barem mlecznym, gdzie jadł obiad. Śmiertelny strzał został oddany z przejeżdżającego samochodu milicyjnego.

Zabici na ulicach Gdańska, Gdyni i Elbląga w Grudniu 1970 r. byli w większości ludźmi młodymi. Na 27 osób, tylko czterech z nich przekroczyło 30. rok życia: Brunon Drywa – 34 lata, Jan Polechoński – 30 lat, Kazimierz Stojcki – 58 lat i Marian Wójcik – 33 lata. Najmłodszy miał 15 lat (Jerzy Skonieczka i Zygmunt Gliniecki, obaj urodzili się w kwietniu 1955 r.), jednak

większość z nich mieściła się w przedziale 20-24 lat.

Będąc młodymi ludźmi w zdecydowanej większości byli to kawalerowie, jedynie sześciu z nich (Waldemar Rebinin, Kazimierz Stojcki, Jerzy Matelski, Brunon Drywa, Jan Polechoński i Marian Wójcik) pozostawiło po sobie dzieci. Jednak niektórzy z pozostałych zabitych planowali wkrótce założyć rodziny. Stanisław Lewandowski, Józef Pawłowski, Zygmunt Polito i Marian Sawicz mieli w najbliższym czasie wziąć ślub ze swymi wybranymi, a Lewandowski i Sawicz mieli już wyznaczone terminy uroczystości.

Pod względem pochodzenia największą grupę stanowiły osoby pochodzące z Pomorza (ówczesne województwo gdańskie i bydgoskie); takimi korzeniami może się legitymować 10 osób. Liczni byli także potomkowie przesiedleńców z Kresów (5 osób), acz trzeba pamiętać, że niektórzy z nich urodzili się już na Wybrzeżu. Reszta przyjechała z różnych stron Polski; w grupie tej dominuje tzw. ściana wschodnia (Lubelskie i Podlasie), skąd wywodziło się 6 zabitych.

Jakie był pochodzenie społeczne ofiar Grudnia? Praktycznie wszyscy pochodzili z ubogich rodzin robotniczych lub chłopskich. Bardzo nieliczni wywodziли się z rodzin urzędniczych (Apolinary Formela jako syn naczelnika poczty, a Zbigniew Godlewski zawodowego oficera). Warto też zaznaczyć, że rodziny Józefa Pawłowskiego i Józefa Widerlika (właściciele cegielni) lepiej sytuowane przed wojną, zostały zrujnowane przez „władzę ludową”.

Mimo upływu pięćdziesięciu lat oficjalna lista zabitych w grudniu 1970 r. nigdy nie została podważona. Krążące plotki o ukrytych w lasach masowych grobach okazały się fałszywe. Czy oznacza to, że lista ta jest kompletna? Niekoniecznie, część ofiar mogła zostać ukryta w dokumentach stanu cywilnego poprzez podanie nieprawdziwej przyczyny śmierci, niektórzy ranni mogli umrzeć po arbitralnie wyznaczonej przez władzę dacie 11 stycznia 1971 r. (warto wskazać na przypadki Jerzego Tonowicza i Emiliana Bilińskiego, których śmierć była łączona przez ich rodziny z obrażeniami, jakich doznali z rąk milicji w Grudniu 1970 r.). Pokazuje to, iż należy prowadzić dalsze badania w tej sprawie.

(artykuł jest zmodyfikowaną wersją rozdziału książki „Pogrzebani nocą” wydanej w 2015 r. przez Polską Press sp. z o.o.)

OFIARY GRUDNIA '70 W SZCZECINIE

Szczecińscy robotnicy rozpoczęli walkę o godne życie w czwartek, 17 grudnia 1970 roku

DR SEBASTIAN KANIEWSKI
(IPN SZCZECIN)

W mieście od rana wyczuwało się napiętą atmosferę. Pierwsze zlecenia wyjazdu karettek tego dnia w Szczecinie pojawiły się około południa. Zgodnie z raportami, najwięcej wyjazdów miało miejsce po południu, w rejon placu Żołnierza Polskiego, przed ówczesną Komendą Wojewódzką MO (dziś pl. Solidarności) oraz około godziny 18 w rejon więzienia na ul. Potulicką. Rannych transportowano do pobliskich przychodni, Stacji Pogotowia Ratunkowego oraz szpitali.

Około godz. 21 pod Komendą Wojewódzką Milicji Obywatelskiej, zgodnie z relacją szefa sztabu batalionu człogów, który w grudniu 1970 r. prowadził działania na pl. Żołnierza Polskiego, „zaczął próżyć śnieg. Pojawiły się na nim plamy krwi, śnieg nasiąkł krwią”. Było to miejsce najkrwawszych starć Grudnia '70 w Szczecinie. Śmiertelne rany odniosło tam dwanaście osób. Trzynasta ofiara odniosła śmiertelną ranę w okolicach siedziby 36. Pułku Inżynierijno-Budowlanego przy ul. Sambora. Ogólnie, w dniach 17-22 grudnia zginęło szesnaście osób. Zgodnie z zachowaną dokumentacją medyczną siedemnastą ofiarą jest nienarodzone dziecko, które zmarło w wyniku poronienia. Rany odniosło w Szczecinie 110 osób. Większość spośród osób zabitych i rannych otrzymała postrzał w górne partie ciała - 44 osoby, wobec 41 osób z ranami postrzałowymi nóg. Część z nich do dziś ma problemy z poruszaniem się lub wykonywaniem codziennych czynności. Niektórzy odnieśli rany w częściach miasta zupełnie oddalonych od głównego teatru walk. Jedną z rannych, idącą w centrum Szczecina (około 2 km od miejsca starć z milicją i wojskiem), została postrzelona z jadącego SKOT-a. W szpitalu była poddana rekonwalescencji przez 11 miesięcy.

Najmłodsi zamordowani mieli szesnaście lat. Jadwiga Kowalczyk była jedyną kobietą, a właściwie jeszcze dziewczynką. W roku 1969 ukończyła szkołę podstawową. Jej marzeniem było zamieszkanie na wsi i zajęcie się hodowlą koni. Dlatego po ukończeniu „podstawówki” rozpoczęła naukę

w Szkole Przysposobienia Rolniczego. Później chciała studiować w Akademii Rolniczej. 17 grudnia wróciła ze szkoły, położyła plecak i mając jeszcze na sobie płaszcz podeszła do okna, zajmując przy nim miejsce siostry. Zginęła w mieszkaniu. Siostra do dziś mówi, że „ta kula była przeznaczona dla niej”. Stefan Stawicki był uczniem 2 klasy Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów, którego marzeniem była praca na statku i podróże. Zginął pod stoczną, idąc do szkoły.

Pierwszą ofiarą szczecińskiego Grudnia był Henryk Perkowski. W listopadzie 1970 r. złożył podanie o przeszerogowanie do wyższej grupy zarobkowej. Pozytywną opinię i zgodę na przeszerogowanie otrzymał 15 grudnia 1970 r., dwa dni przed śmiercią. Był jedyną osobą, która nie zginęła od ran postrzałowych, lecz pod kołami SKOT-a, oraz jedyną ofiarą, której ciało zostało wydane rodzinie, aby

OFIARĄ, KTÓREJ OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI DO DZIŚ NIE SĄ WYJAŚNIONE, JEST SZEREGOWY STANISŁAW NADRATOWSKI

sama mogła zorganizować ceremonię pogrzebową pod Białymstokiem. Miał 20 lat.

Ofiarą, której okoliczności śmierci do dziś nie są wyjaśnione, jest szeregowy Stanisław Nadratowski. 19 grudnia 1970 r. ok. godz. 23.30 został znaleziony z raną postrzałową głowy w podwórzu kamienicy przy ul. Kaszubskiej 63/64. Jako powód śmierci rodzice jednoznacznie wskazywali odmowę wykonania rozkazu strzelania do stoczniovców oraz głośno wyrażane negatywne nastawienie do MO. Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Szczecinie wszczęła śledztwo w sprawie śmierci Stanisława Nadratowskiego. Jako przyczynę śmierci podano nieostrożne obchodzenie się z bronią. Od samego początku występowało wiele nieścisłości i ewidentnych błędów w prowadzeniu postępowania

Świadkowie często zmieniali zeznania, fotografie z miejsca znalezienia ciała przedstawiały manipulacje dokonane w ułożeniu ciała i broni. Znaleziony został tylko jeden pocisk, pomimo oddania dwóch strzałów z karabinu KB AK. 4 października 2019 roku KŚZpNP w Szczecinie podjęła na nowo śledztwo w sprawie ustalenia przyczyny śmierci Stanisława Nadratowskiego. Ze względu na trudności spowodowane m.in. degradacją badanego materiału kostnego, a zwłaszcza czaszki zmarłego nie udało się uzyskać dowodów, pozwalających na jednoznaczne i kateryczne ustalenie toru lotu pocisków. Miał 20 lat.

W dniu śmierci poniżej 20 lat mieli również Stanisław Kamać (18 l.) oraz Michał Skipor (19 l.).

Zbigniew Semczyszyn był jedyną ofiarą, która 17 grudnia została śmiertelnie ranna poza placem przy KW MO. Sprzed siedziby 36. Pułku inżynierijno-budowlanego w Szczecinie przy ul. Sambora został przeniesiony do pobliskiej bramy, w której przed przyjazdem karetki zmarł w wyniku rany postrzałowej głowy. Miał 23 lata.

Spoza Szczecina pochodził Roman Kuźak. Mieszkał i pracując w Szczecinie na dwóch etatach, cały czas pomagał ubogim rodzicom i rodzeństwu mieszkającym w Polanicy. Miał 23 lata.

Zygmunt Toczek pracował jako nauczyciel tokarstwa w Zasadniczej Szkole Metalowej, której był absolwentem. Był pracownikiem sumiennym i posiadał wysokie kwalifikacje. Jego brat Henryk, wspólnie z pracownikami Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego oraz uczniami i pracownikami Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów i Technikum Budowy Okrętów zorganizowali 1 maja 1971 r. Czarny Pochód. Część uczestników wniosła transparenty z hasłami wyrażającymi żądania ukarania sprawców zbrodni dokonanych podczas Rewolty Grudniowej w 1970 r., a Henryk Toczek rękę ubraną w czarną rękawicę. Miał 23 lata.

Janusz Wrzodak jest jedną najbardziej tajemniczych ofiar Grudnia '70 w Szczecinie. Według karty ewidencyjnej z Wojskowej Komendy Uzupełnień, po ukończeniu siedmiu klas



Broszura „Szczeciński Grudzień 1970. Pamiętamy!” autorstwa dr Sebastiana Kaniewskiego ze wstępem dr. hab. Sebastiana Ligarskiego. Broszura z biogramami 16 ofiar Grudnia '70 w Szczecinie do pobrania na stronie: szczecin.ipn.gov.pl

rozpoczął naukę w Technikum Budowy Okrętów. Niestety w TBO nie odnaleziono żadnej dokumentacji świadczącej o tym, że kiedykolwiek podjął tam naukę. Według słów matki Janusz pracował w Przedsiębiorstwie Transportowym Handlu Wewnętrznego. W archiwum zakładowym nie udało się jednak odnaleźć jego akt osobowo-płacowych. Miał 27 lat.

Najdłużej trwała walka o życie ранego Daniela Kućmy. Pomimo przeprowadzenia trzech operacji, lekarzom nie udało się go uratować. 21 grudnia 1970 r. zmarł na stole operacyjnym. Daniel cały czas podnosił swoje kwalifikacje i w marcu 1969 r. uchwalał Państwowej Komisji Egzaminacyjnej otrzymał tytuł mistrza w zawodzie stolarz budowlany. Miał 24 lata.

Przed ukończeniem 30 roku życia zginęli także: Eugeniusz Błazewicz (22 l.), Walde-

mar Szumiński (22 l.) oraz Wojciech Woźnicki (21 l.).

Zaledwie dwie osoby przekroczyły 30. rok życia.

Edward Prysak 17 grudnia jechał do rodziców na święta. Pracował pod Poznaniem, ale pomagał rodzicom i rodzeństwu mieszkającym w podcedyńskiej wsi Stara Rudnica. Mając przesiadkę w Szczecinie, zapewne udał się w pobliże KW MO. Miał 42 lata.

Najstarszą ofiarą był Julian Świącicki. Był bardzo lubiany i określany jako spo-

kojny, koleżeński i uczynny. Od października 1970 r. był na emeryturze. Miał 59 lat.

Ciała większości zabitych 17 grudnia składane były w garażu należącym do stacji pogotowia ratunkowego przy al. Wojska Polskiego. Spośród szesnastu ofiar Grudnia '70 w Szczecinie dziewięć zostało pochowanych bez obecności rodziny z powodu braku informacji o pogrzebie. Niektóre ofiary zostały pochowane jako NN.

Na osobny artykuł zasługują losy innych ofiar Grudnia '70. Członkowie szczecińskich komitetów strajkowych poddawani byli inwigilacji oraz psychicznym i fizycznym prześladowaniom. Część z nich zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach. Czynności podejmowane przez funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa były wykonywane na wyraźne polecenie zwierzchników, co nadal wymaga wnikliwych badań.

NAJDŁUŻEJ TRWAŁA WALKA O ŻYCIE RANNEGO DANIELA KUĆMY. 21 GRUDNIA ZMARŁ NA STOLE OPERACYJNYM

NOCĄ POGRZEBANI. OFIARY GRUDNIA

Jedną z najważniejszych norm społecznych jest obowiązek godnego chowania zmarłych. Śmiertelne ofiary robotniczej rewolty z grudnia 1970 r. zostały pochowane; ale sposób, w jaki to zrobiono, jest mało znany, a wielce wymowny

DR PAWEŁ MIEDZIŃSKI
(IPN SZCZECIN)

Matka Michała Skipora miała złe przeczucia. Gdy nie wrócił na obiad, jej niepokój zaczął rosnać. Całą noc stała w oknie, czekając na powrót syna. Rano poszła do pracy. Potem wraz z mężem szukała go w każdym szpitalu, urzędzie. Byli i na milicji, i w prokuraturze. W przychodni zdrowia przy ul. Starzyńskiego pokazywali zdjęcie syna. Ktoś go rozpoznał i dowiedzieli się, co się stało. Wtedy udali się ponownie do prokuratury. Tam poinformowano ich, że wszyscy zabici, w tym ich syn, zostali już pochowani. Nie uwierzyli. Nadal szukali zwłok w kolejnych szpitalach. Dotarli do prosektorium na Gołębini. Tam znaleźli rzeczy syna. Potem udali się do KW MO, gdzie pokazano im fotografie zwłok. Matka nie była w stanie ich oglądać, nie mówiąc o rozpoznaniu na nich własnego dziecka. Zrobił to jej mąż. Po kilku miesiącach udało się dokonać ekshumacji i powtórnego pochówku w rodzinnym grobowcu.

Nikt z rodziny nie wiedział o pogrzebie

Gdy po dwóch dniach od wyjścia z mieszkania, Waldemar Sumiński nadal nie wracał, jego siostra już wiedziała, że musiało stać się coś złego. Odwiedziła kolejne szpitale. Matka Waldemara szukała informacji w prokuraturze. Odesłano ją do gmachu KW MO. Tam jakiś oficer SB pokazał jej zdjęcia. Na jednym z nich rozpoznała syna. Miał umrzeć w szpitalu. Pojechała tam wraz z córką. Dowiedziały się, że ciało kilka dni wcześniej zabrano do prosektorium. Chciały odebrać zwłoki, lecz ciała już nie zastały, dowiedziały się, że zostało pochowane. Nikt z rodziny nie wiedział o śmierci, tym bardziej o pogrzebie. Na cmentarzu wskazano im grób, na którym znajdowała się tabliczka z napisem „NN”. Pytały pracowników cmentarza, jak wyglądała

ceremonia. Dowiedziały się, że pochowano go ubranego, w trumnie. Bały się, że nie zadbanano nawet o to. Po mieście krążyły plotki, że zabitych chowano w plastikowych workach. Kobiety starały się o ekshumację i powtórną pochówek, lecz były zbyt słabe i zbyt osamotnione w starciu z władzą. Nie zdołały uzyskać zgody.

Inna data śmierci

Stefan Stawicki wyszedł do szkoły 18 grudnia. Był uczniem Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów. Nie dotarł do niej. Zatrzymała go kula wystrzelona podczas walk pod stoczną. Rano jego rodzice zastanawiali się, czy pozwolić mu iść. Pozwolili, bo uznali, że miałby „nieobecność”. Atmosfera jednak była napięta, dla jej rozładowania ojciec powiedział żartem, że gdyby pod stoczną strzelali, ma położyć się na podłodze tramwaju. Gdy Stefan nie wrócił wieczorem, rodzice mieli jeszcze nadzieję, że znocował u jakiegoś kolegi. Szukali go najpierw w szkole, gdzie im powiedziano, że jakiś uczeń II klasy został postrzelony, lecz nie wiadomo który. Nadzieja nie pozwalała im przyjąć, że to ich syn. Stawicka dzwoniła ze szkoły na pogotowie, lecz tam nic nie wiadomo. Później szukała informacji w Prezydium Rady Dzielnicowej. Pomógł jej je-

den z urzędników, który pojechał na milicję. Daremnie. Stawicka szukała dalej w szpitalach. W końcu dowiedziała się, że jej syn jest w Szpitalu Wojskowym. Sądziła, że jest ranny. Natychmiast z mężem pojechali do szpitala. Tam nie od razu dowiedzieli się, że ich dziecko nie żyje. Dopiero po wielu staraniach i upływie kilku godzin pozwolono im zobaczyć jego zwłoki. Chcieli zorganizować pogrzeb. Odmówiono im, nakazując czekać w domu. O 22.15 pojawiły się osoby ubrane po cywilnemu, informując o pogrzebie, który miał wkrótce nastąpić. Dwiema taksówkami rodzice wraz z najbliższą rodziną pojechali na cmentarz, czekali jakiś czas. Potem przewieziono ich nad grób. Po silnych i stanowczych naleganiach pozwolono otworzyć trumnę. Syn był ubrany w to, co matka przyniosła do prosektorium. Pogrzeb trwał krótko. Obok przygotowano cztery kolejne groby. Następnego dnia Stawicka pojechała z koleżankami z pracy na cmentarz, by złożyć kwiaty na grobie. Krzyknęła wtedy: „Mój Boże, zobaczcie, mój syn umrze jutro”. Na tabliczce było imię i nazwisko oraz data śmierci. Zamiast 18 - 24 grudnia.

Matka odmówiła udziału w pogrzebie

Matka Janusza Wrzodaka o tym, że syn nie żyje, dowiedziała się cztery dni po jego śmierci. Do jej mieszkania około północy zapukało dwóch mężczyzn. Jeden z nich przedstawił się jako pracownik Miejskiej Rady Narodowej. Poinformowali ją, że jeszcze tej samej nocy odbędzie się pogrzeb jej syna. Odmówiła udziału w nim. Następnego dnia udała się na cmentarz, gdzie wśród świeżych mogił znalazła grób Janusza.

O śmierci syna dowiedzieli się w styczniu

Również w pogrzebie Romana Kużaka nie uczestniczył nikt z rodziny, bo ona o niczym nie



Pogrzeb Zygmunta Toczka. Siostrze Zygmunta puściły nerwy, zaczęła histerycznie krzyczeć. Jeden z funkcyj...

wiedziała. Syn miał przyjechać do rodzinnego domu w Polanicy Kłodzkiej na święta Bożego Narodzenia, ale nie dotarł. Rodzina, bardzo zaniepokojona tym, co się działo na Wybrzeżu, wiedziała tylko tyle, ile podawała oficjalna prasa i telewizja. Niepokój sięgał zenitu. Po świętach bliscy Kużaka udali się na komisariat MO w Polanicy i zgłosili zaginięcie syna. W styczniu 1971 r. nadszedł list, a w nim informacja od przyjaciela syna o jego śmierci. Siostra zabitego potwierdziła ją, dzwoniąc do prokuratury wojewódzkiej. Wraz z ojcem natychmiast przyjechała do Szczecina. Grób był anonimowy. Nie było żadnej tabliczki ani innej informacji o tym, kto jest w nim pochowany. Rodzina chciała ekshumować ciało syna. Drama-

tyczne starania o wydanie zgody trwały aż do lutego 1971 r. Matka zabitego Janusza odchodziła od zmysłów. W gabinecie kolejnego decydenta, sekretarza Prezydium MRN, upadła i na kolana błagała o pomoc. Prokurator Stanisław Kolarz kluczył, nie chciał podjąć decyzji. Ostatecznie Romana Kużaka pochowano po raz drugi w Polanicy.

Pierwszy pobity, drugi - zabity

Wanda Karczewska szukała dwóch synów: Jerzego i Wojciecha. Pierwszego, mocno pobitego, odnalazła dopiero po trzech miesiącach w areszcie na ul. Kaszubskiej. Drugi, starszy, miał mniej szczęścia. Karczewska zajęta szukaniem mieszkającego wciąż z nią nieletniego syna, była przeko-

nana, że starszy, mający już żonę i dziecko, wyjechał na święta do swoich teściów. Gdy jednak spotkała się z synową, zorientowała się, że musiało stać się coś złego. Tym bardziej że ktoś podrzucił do skrzynki na listy dokumenty z kartką, że zostały odnalezione na placu przed gmachem KWMO. Niedługo później przyszło wezwanie na milicję. Synowej okazano fotografię zabitych. Na jednej z nich rozpoznała męża. Polecono jej odebrać ze szpitala przy ul. Unii Lubelskiej rzeczy po mężu. Matka Wojciecha dopiero w styczniu 1971 r. dowiedziała się, gdzie pochowano jej syna. Chciała ekshumować ciało, aby przekonać się, czy tam rzeczywiście pochowane jest jej dziecko, jednak synowa nie zgodziła się na to.

PO ŚWIĘTACH BLISCY KUŻAKA UDALI SIĘ NA KOMISARIAT MO W POLANICY I ZGŁOSILI ZAGINIĘCIE SYNA. W STYCZNIU 1971 R. NADSZEDŁ LIST, A W NIM INFORMACJA OD PRZYJACIELA SYNA O JEGO ŚMIERCI

A '70 W SZCZECINIE I ICH POCHÓWKI



Funerariuszy włożył jej w usta rękawiczkę, nakazał milczenie

Rodzice bali się dochodzić

O śmierci Edwarda Prysaka rodzina dowiedziała się z gazety - z komunikatu zamieszczonego 18 stycznia 1971 r. w „Kurierze Szczecińskim”. Nikogo z bliskich nie było na pogrzebie. Rodzice, mieszkający w małej wsi pod Siekierkami nad Odrą, bali się dochodzić okoliczności śmierci zabitego.

Zwłok nie zobaczyli, tylko sweter

Następnego dnia po spaleniu komitetu partii, Eugeniusz Błażewicz wyszedł do pracy znacznie wcześniej, o 5 rano, mimo że trwała godzina milicyjna. Nie chciał spóźnić się do pracy. O 9.00 jego matka odebrała telefon. Anonimowy rozmówca powiedział jej, że jej syn nie żyje. Natychmiast z mężem udała się do Szpitala

Wojskowego przy ul. Piotra Skargi. Nikt nie udzielił jej żadnej informacji ani pomocy. Podobnie było następnego dnia. Dopiero trzeciego dnia jeden z lekarzy pozwolił rodzinie sprawdzić czy wśród rzeczy pacjentów nie ma przedmiotów należących do syna. Zakrwawiony sweter z małą dziurą z przodu i wielką z tyłu należał do Eugeniusza. Rodzicom nie pokazano zwłok syna. Poinformowano, że mają zostać przewiezione do prosektorium. Rodzice Błażewicza pojechali tam, lecz poinformowano ich, że informacje uzyskają „w swoim czasie”. Zdruzgotani udali się do KW MO, by prosić o zgodę na obejrzenie zwłok ich Eugeniusza. Tu też kazano im czekać. Gmach komendy opuściła sama matka, ojciec

wyszedł dopiero po 48 godzinach. O 2 w nocy z 22 na 23 grudnia pojawili się u nich cywile informując, że za chwilę będzie chowany ich syn. Rodzice i siostra zabitego pojechali na cmentarz taksówkami, zabierając ze sobą ubranie dla niego. Na miejscu nakazano im czekać w zamkniętych pomieszczeniach zarządu zieleni miejskiej. W tym czasie ojcu udało się wymusić zgodę na identyfikację i ubranie zwłok. Po około dwóch godzinach zabrano ich i przywieziono nad przygotowany grób, obok którego stała trumna z otwartym wiekiem. Był też ksiądz i fotograf. Ceremonia pochówku odbywała się w świetle reflektorów. Żałobnicy dojrżeli, że obok znajdował się świeży grób z tabliczką - Zygmunt Toczek. Po złożeniu ciała Błażewicza na grobie położono tabliczkę. Z błędnie wpisaną datą śmierci.

Ceremonia trwała około 10 minut

Kazimierz Toczek zaczął szukać syna Zygmunta po czterech dniach. Szukał w kolejnych szpitalach. Ktoś mu podpowiedział, aby udał się do - jak to określił - „trupiami” na Gołęczynie. Tam nikt nie chciał mu udzielić informacji, jednak jeden z pracowników prosektorium skrzywił się wymownie, słysząc nazwisko poszukiwanego. Nakazał czekać w poczekalni na prokuratora. Znajdowało się tam kilkanaście osób. W szpitalu Kazimierz Toczek przypadkiem spotkał pracującą w nim sąsiadkę. Kobieta zaprowadziła go do bocznego wejścia, gdzie przez szparę w starych drzwiach zobaczył leżące w pomieszczeniu zwłoki. Miedzy nimi leżał jego syn. Powrócił do poczekalni, w której już pojawił się prokurator. Wzburzony ojciec żądał wydania zwłok. Polecono mu zostawić adres i telefon kontaktowy oraz oczekiwać na informację. Pojechali do domu po ubranie dla syna. W tym czasie obowiązywała już godzina milicyjna. Postanowił więc, że zawiezie ubranie następnego dnia rano. W domu rodziców zebrało się rodzeństwo Zygmunta. Atmosfera tego spotkania była mieszaną skrajnych emocji - od rozpacz do zupełnej apatii. Do świadomości rodziców jakby nie docierał fakt, że syn leży w prosektorium i że czekają na pogrzeb. Wieczorem trzeba było wezwać pogotowie, matka Toczek dostała zastrzyk uspokajający. Przed północą

dwoma samochodami przybyli przedstawiciele władzy. Toczkowie nie chcieli się zgodzić na pogrzeb nocą, bez księdza. Usłyszeli, że „jeśli nie są zainteresowani, to syn zostanie pochowany w prześcieradle i nawet nie będą wiedzieli gdzie”. Na cmentarzu, w pomieszczeniu obok kaplicy czekali około pół godziny, zabrano od nich ubranie dla zmarłego. Później zostali dowiezieni na miejsce pochówku. Na ławce stała trumna, wokoło kręcili się ludzie w mundurach. Niewiele było widać w świetle reflektorów. Otworzono trumnę. Ciało było ubrane w garnitur dostarczony przez ojca. Ktoś z rodziny założył Zygmuntowi muchę. Zapytano ich czy są katolikami i czy chcą księdza. Cała ceremonia trwała około 10 minut. Spieszono się, bo obok stały dwie kolejne trumny. Siostrze Zygmunta puściły nerwy, zaczęła histerycznie krzyczeć. Jeden z funkcjonariuszy włożył jej w usta rękawiczkę, nakazał milczenie. Wtedy jej mąż postawił się. „Pozwólcie jej się wykrzyknąć!” - zażądał. Pozwolili.

Wojsko nalegało by zwłoki ubrać w mundur

Stanisław Nadratowski - jako jedyny z listy ofiar rewolty grudniowej, opublikowanej przez prokuraturę w lokalnej prasie w styczniu 1971 r. - został pochowany w dzień. Był, podobnie jak jego ojciec i brat, stoczniońcem. Powołano go do zasadniczej służby wojskowej. Trafił do jednostki, która pacyfikowała robotniczą rewoltę. Zginął podczas służby w niejasnych okolicznościach. Jego pogrzeb odbył się w przeddzień Wigilii, z pełnym ceremoniałem, z udziałem warty honorowej. Obok rodziny uczestniczyli w nim: ksiądz, sześćdziesięciu ministrantów i kilkaset osób. Rodzice chcieli pochować syna w garniturze. Wojsko jednak nalegało, aby ubrać zwłoki w mundur. Rodzina zgodziła się. Stocznia, gdzie pracował ojciec tragicznie zmarłego, obiecała autokar, który jednak nie przyjechał. Nie przeszkodziło to wielu ludziom dotrzeć na cmentarz. W kaplicy została wystawiona wojskowa warta honorowa. Trumna była zamknięta. Otworzył ją ojciec. Matka zakryła roztrzaskaną głowę chustą. Ten oficjalny, państwowy pogrzeb miał być demonstracją, że „po dwóch stronach były ofiary”. Jak czas pokazał - nieudaną.

TOCZKOWIE NIE CHCIELI SIĘ ZGODZIĆ NA POGRZEB NOCĄ, BEZ KSIĘDZA. USŁYSZELI, ŻE „JEŚLI NIE SĄ ZAINTERESOWANI, TO SYN ZOSTANIE POCHOWANY W PRZEŚCIERADLE I NAWET NIE BĘDĄ WIEDZIELI GDZIE”

Jeździli nocą dwoma samochodami

Szef szcecińskiej bezpieki, komendant wojewódzki MO, płk Julian Urantówka wyznaczył do organizacji pochówku zabitych mjr. Kazimierza Marczewskiego, zastępcę naczelnika wydziału dochodzeniowośledczego. Wcześniej polecił mu ustalić liczbę zabitych i ich tożsamość.

Na polecenie Feliksa Uciechowskiego, przewodniczącego MRN Stanisław Mucha, kierownik Wydziału Społeczno-Administracyjnego MRN wraz z funkcjonariuszem SB rozpoczęli przeprowadzanie pogrzebów. Jeździli nocą do wytypowanych rodzin dwoma samochodami „składając kondolencje i proponując udział w pogrzebie”. Kolejność i adresy, pod które jechali, ustalał funkcjonariusz SB. Rodziny były przewożone pod główną bramę Cmentarza Centralnego. Tam przejmowała je inna ekipa funkcjonariuszy.

Nie informowano nawet pracowników cmentarza

Podporucznik Leonard Ryszkiewicz, inspektor wydziału kryminalnego KM MO, otrzymał polecenie - „zjedź obiad, najedź się, wieczorem czeka nas robota”. Odszukał grabarzy i przywiózł ich na cmentarz; pomagał mu por. Władysław Mamoń, por. Henryk Bąkowski wozili rodziny. Zwłoki z prosektorium na Gołęczynie przywieźli: st. sierż. Inrenusz Kordulewski i kpr. Bolesław Ulężałka. Dowożono je milicyjnym „Starem” i „Żukiem”, odpowiednio ładując na nie trzy i jedną trumnę. Pogrzeby organizowano w ścisłej tajemnicy. Nie informowano o nich nawet pracowników cmentarza. Kierownik cmentarza 22 grudnia

1970 r. dostał polecenie, aby wieczorem nie wychodził z domu. Domyślił się, o co chodzi. Wieczorem przyjechali po niego trzej cywile, polecili też zabrać ze sobą jedzenie. Pojechali do dyrekcji cmentarza. Tam było kilku cywili, rozpoznał wśród nich dwóch milicjantów z III Komisariatu. Był dyrektor Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej zarządzający cmentarzem, był fotograf. Zebrany przewoził ubraną w mundur mjr. Marczewski. Po jakimś czasie do zespołu dołączył starszy wiekiem ksiądz. Zwłoki chowali grabarze cmentarni przywiezieni z domów przez MO. Pierwszy pogrzeb zaczął się około 18.00. O tej porze roku ciemno było już od kilku godzin. Teren cmentarza obstawiali milicjanci wyposażeni w broń długą. Otworzono pierwszą trumnę. Było w niej nagie ciało młodego mężczyzny, ubranie leżało obok. Major Marczewski miał pretensje do podwładnych, ci jednak nie chcieli ubrać zwłok. Zrobili to grabarze. Do zwłok były przyczepione karteczki z cyframi - na stopie, ręce i piersi. Otworzono drugą trumnę, leżały w niej inne zwłoki niż te, które planowano pochować jako pierwsze. Te właściwe znalazły się w trumnie trzeciej, również były nagie. Znow ubierali je grabarze. W tym czasie rodzina zabitego znajdowała się już w biurze cmentarza, przygotowano ją i okazano ciało. Potem zawieszono je samochodem na miejsce, gdzie miało zostać pochowane. Groby były przygotowane, w dwóch rzędach oddalonych od siebie o około 150 metrów. Zabitych chowano raz do jednego, raz do drugiego rzędu. Pogrzeby trwały całą noc. Ostatni skończył się około 5 rano następnego dnia. Łącznie tej nocy było ich trzynaście.

Pięć ofiar zidentyfikowano już po pogrzebie

Władzy tak zależało na szybkim pogrzebaniu ofiar, że aż pięć osób pochowano jako „NN”. Dopiero później ustalano ich tożsamość - a w zasadzie ustalały to rodziny - na podstawie zdjęć, jakie wówczas wykonano zabitym.

Dwie osoby - Henryk Perkowski i Roman Kużak - zostały pochowane poza Szczecinem. Na ich pogrzeby przybyły tłumy. Nie doszło na nich do żadnych incydentów, których tak bardzo bała się bezpieka.

NAJTRUDNIEJSZA KOLEĘDA

Kościół katolicki wobec Grudnia '70

DR PIOTR ABRYSEŃSKI,
DR DANIEL GUCEWICZ
(IPN GDAŃSK)

Znieruchomiały dźwięki, cisza spłynęła na Wybrzeże. Mgły już nie było, mżył deszcz ze śniegiem. Miasta żyły jak sparaliżowane. Nikt się nie przepychał na dworcach, przemysłowe sklepy nie notowały utargów. Tylko w zakrystiach kościołów tłoczyli się ludzie, zamawiając msze. Tylko dzwony płakały nad miastem, bo ludzie zapieklili się w bólu i schronili przed złem i władzą w domach – jak w twierdzach”. W tak sugestywny sposób Barbara Seidler przedstawiła sytuację w spacyfikowanym Trójmieście 18 grudnia 1970 r.

Sutanny w tłumie

„W tłumie, demonstrującym dziś w Gdańsku pod wpływem ciemnych elementów w związku ze zmianą cen, zauważono sutanny” – usłyszał biskup gdański Edmund Nowicki od przedstawiciela władz późnym popołudniem 14 grudnia 1970 r. Niemal w tej samej chwili centrum miasta stało się areną pierwszych walk ulicznych między protestującymi robotnikami a oddziałami milicji. I choć jest oczywiste, że duchowni nie brali udziału w demonstracjach, a tym bardziej w starciach ulicznych, to mimowolnie stali się oni uczestnikami Grudnia '70, a świątynie – niemymi świadkami tragedii.

Najbliżej wydarzeń znaleźli się księża pallotyni. Wszak ich dom przy kościele św. Elżbiety stał zaledwie kilkanaście metrów od Komitetu Wojewódzkiego. Przechodzący obok świątyni robotnicy zdejmowali kaski, a wśród intonowanych pieśni były i religijne. Podczas walk wielu kryło się w murach kościoła, gdzie jednak nie wtargnął żaden milicjant. Trafiła tam za to petarda z gazem, zmuszając zgromadzonych do wyjścia na zewnątrz.

Podczas pacyfikacji protestu, w okolicy dworca, poturbowano orionistę z Malborka ks. Władysława Pędzika, którego z jednym butem i bez kapelusza odwieziono do szpitala. Rozchodzili się plotki o śmierci dwóch pallotynów niosących pomoc rannym na ulicach. Dwóch z nich faktycznie ucierpiał: ks. Władysław Ciastonia ugodził przy-



Podpalanie budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku od strony kościoła św. Elżbiety, 15 XII 1970 r.

padkowy kamień, a ks. Tadeusza Korbeckiego... pałki bezlistosnych zomowców.

Podpalając „Reichstag”, demonstranci dbali, aby pobliska świątynia nie ucierpiała. Zakonnicy pilnowali strychów, na wypadek wrzucenia petardy z helikoptera. Ostatecznie jedynym skutkiem walk były tylko dwa stłuczone okna. Co ciekawe, kilka dni później ktoś podrzucił kopertę z pieniędzmi na nową szybę i karteczką z przeprosinami.

Jeszcze w trakcie protestów i walk w wielu kościołach gdańskiego Śródmieścia rozlegały się modlitwy w intencji spokoju. W reakcji na wydarzenia biskup Nowicki zarządził odprawienie podczas niedzielnych mszy w Gdańsku i Sopocie specjalnej modlitwy o opiekę nad narodem. Połączono ją z odśpiewaniem antyfony Pod Twoją obronę, co na kilka dni przed Wigilią robiło duże wrażenie.

W „czarny czwartek” w Gdyni akcenty kościelne były jeszcze silniejsze. Pochód z niesionym na drzwiach ciałem „Janka Wiśniewskiego” zatrzymał się na chwilę obok kościoła

Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski. Kilka osób narpędce do niego weszło i wróciło z krzyżem, który umieszczono w nogach zabitego.

Około południa centrum walk przeniosło się w okolice Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Atakowany tam tłum kilkakrotnie cofał się na wzgórze, gdzie stoi franciszkański kościół św. Antoniego, ale też nacierał na podchodzących milicjantów. Wielu uciekających kryło się w świątyni, w której... trwały gorączkowe prace remontowe w dolnym kościele, ponieważ za kilka dni zaplanowano jego uroczyste poświęcenie. Kościół ostrzeżono pociskami gazowymi, a jeden z nich wpadł do środka. Do wyprowadzenia części ukrywających się wewnątrz osób posłużył podobno pogrzeb parafianki.

W Elblągu kościół św. Jerzego stał się kontrapunktem dla lokalnych aparatczyków. Złośliwa plotka głosiła, że ukryli się w nim, uciekając przed tłumem. Z kolei w kościele św. Mikołaja uspokojono załamane nerwowo żołnierza, który w trakcie pacyfikacji

protestów przyszedł tam, oświadczając, że woli się zabić, niż strzelać do ludzi.

Nieradosne święta

„Jak co roku chciałbym i w tę noc świętą zawołać: Najmilsi bracia moi i siostry: życzę wam gorąco radosnych świąt! Ale czy mogą to uczynić, czy mogą mówić o radosnych świątach wobec okropnych wydarzeń ostatnich dni? Czy w takiej więc sytuacji mogą dziś wołać:

PODPALAJĄC „REICHSTAG”, DEMONSTRANCI DBALI, ABY POBLISKA ŚWIĄTYNIA NIE UCIERPIAŁA. ZAKONNICY PILNOWALI STRYCHÓW, NA WYPADEK WRZUCENIA PETARDY Z HELIKOPTERA

Radosnych świąt? Otóż jak najbardziej!” – tymi słowami rozpoczął homilię biskup Nowicki podczas pasterki A.D. 1970, starając się wlać odrobinę światła w udręczone serca gdańszczan. Przecież Boże Narodzenie to czas miłości, radości i przebaczenia.

Duchowni musieli się wówczas zmierzyć z trudnym zadaniem moralnym i duszpasterskim. Jak w obliczu takiego dramatu mówić o miłości bliźniego i przebaczeniu? Brutalna pacyfikacja strajków przyniosła wiele ofiar, a w polskich domach zagościły rozpacz i ból, niekiedy trauma, ale też gniew...

W obliczu tragedii kapłani służyli przede wszystkim wsparciem duchowym i moralnym. Stawali się powiernikami osobistych historii, często naznaczonych cierpieniem i lękiem o przyszłość. Ta często niedostrzegana rola księży była jednak fundamentalna dla tysięcy wiernych. Okazją do spotkań były wizyty duszpasterskie. „Grudniowa” koleęda 1970/1971 na pewno należała do najtrudniejszych w całym okresie powojennym.

„To był bardzo częsty temat rozmów w czasie koleędy, z którą po tych smutnych świątach Bożego Narodzenia odwiedzaliśmy domy naszych parafian. Trudno było się dziwić ludzkiemu gniewowi. Zawziętość, nieutulony żal, nieukoiony ból. Wściekłość. Pojawiało się lakoniczne, lecz najtrudniejsze pytanie: »Dlaczego?«. Niemal czasu trzeba było poświęcić w niejednym domu. Wracaliśmy późną nocą. Czasem i noc była za krótka, by uspokoić emocje i nastawić umysły na drogę miłości ojczyzny” – wspominał ks. Hilary Jastak, jeden z najbardziej zaangażowanych kapłanów w udzielaniu pomocy ofiarom Grudnia i pielęgnowaniu o nim pamięci.

Od początku starci kapłani starali się tonować nastroje. W zdecydowanej większości stali po stronie robotników i nieraz wyrażali dla nich poparcie. Jednak w obliczu dezinformacji i kolejnych komunikatów o chuligańskich wybrykach, grabieżach i podpaleniach – nawet gdy nie wierzyli rezimowym mediom – musieli przynajmniej ważyć swoje przemyslenia, komentarze i postawy. Mimo to wielokrotnie z ambon padały nawiązania do „czarnego tygodnia”, których treść, często zawołowaną, wszyscy doskonale rozumeli.

Reakcja prymasa i Episkopatu

Blokada informacyjna nałożona przez komunistów na zrewoltowane miasta Wybrzeża spowodowała, że przekazy dotyczące tego, co się tam dzieje, dotarły do prymasa Stefana Wyszyńskiego z opóźnieniem. 18 grudnia ofiarował on poranną mszę w intencji zabitych w Trójmieście. Dzień później wycofał list pasterski na dzień Świętej Rodziny „w sprawie zagrożonego bytu narodu”. Dokument był wyjątkowo kontrowersyjny dla władz, które na chwilę przed wprowadzeniem podwyżek zażądały jego wycofania. W obliczu tragedii nabierał kontekstu politycznego, tym bardziej że postulaty robotnicze były jasne. Prymas tłumaczył, iż „nie jest słuszne płacących zasmucać”.

W pierwszy dzień świąt w archikatedrze warszawskiej kardynał wygłosił specjalne przemówienie na temat protestów. Mówił o „istnej tragedii,

przez jaką przeszedł ostatnio naród polski, gdy ulice miast splotywały bratnią krewią”. I dodawał: „Gdybym mógł w poczuciu sprawiedliwości i ładu wziąć na siebie całą odpowiedzialność za to, co się ostatnio w Polsce stało, wziąłbym jak najchętniej”. Wskazywał, że być może za mało ostrzegał i pouczał, mając na myśli nie tylko tych, którzy go słuchali w świątyniach, lecz przede wszystkim rządzących. Apelował równocześnie o nieszukanie winnych i nieoskarżanie, tylko chrześcijańskie uderzenie się w piersi i pracę na rzecz wspólnej ojczyzny. Na koniec wyraził nadzieję, że „szczęśliwą winą” tragedii jest szansa na realizację w Polsce „prawdziwego demokracji”.

Apel prymasa Polski trafił następnie do miejsc dotkniętych tragedią. Odczytano go między innymi na specjalnych nabożeństwach odprawianych w intencji poległych. Były one organizowane zaraz po świętach w kościołach Gdańska, Gdyni i Sopotu.

W kościołach całego kraju z początkiem nowego roku wybrzmiała natomiast odezwa Rady Głównej Episkopatu Polski, którą zredagował kardynał Karol Wojtyła. Przesłanie kierowano „do wszystkich rodaków wspólnej ojczyzny”. Pisano w nim o „męce całego narodu” i „walkach nieoszczędzających własnych rodaków”. Podkreślano, że „oczywista jest wspólnym dobrem wszystkich Polaków”, lecz stawiano wiele warunków, które trzeba spełnić, aby naród mógł funkcjonować swobodnie. Przede wszystkim należało „uczynić wszystko, aby w odcyżnie każdy czuł się bezpieczny i uszanowany”. Biskupi przypomnieli nawet swój apel z okresu Marca '68 i ponownie skrytykowali stosowanie brutalnej przemocy wobec społeczeństwa.

Nocne pogrzeby

Ponurym epilogiem grudniowego dramatu były naprędce urządzone pochówki ofiar w Trójmieście, Elblągu i Szczecinie. W obawie przed możliwymi manifestacjami władze nie chciały dopuścić do normalnych pogrzebów. Podobno Zenon Kliszko nakazał chowanie „skrycie na cmentarzach, pod płotami, wyrównując ziemię”. I choć tę makabryczną myśl odrzucono, to i tak pochówki uragały wszelkiej tradycji, zwyczajom i prawu kościelnemu. Mimo prób komunistom nie udało się bowiem zaangażować do tego kapłanów diecezjalnych. Ich udział stanowiłby jawne przyzwolenie na zło i uczyniłby Kościół współwinnym tragedii i niegodnego potraktowania dożyjących szczątków poległych. Skorzystano więc z pomocy

CHOĆ POSTULATY ROBOTNICZE W WIĘKSZOŚCI ODNOSIŁY SIĘ DO POPRAWY SYTUACJI EKONOMICZNEJ, TO BYŁY WŚRÓD NICH I TE DOTYCZĄCE SFERY WYZNANIOWEJ

duchownych uległych i dyspozycyjnych: kapelanów wojskowych, członków ruchu „księży pozytywnych”, tajnych współpracowników SB. W swym sumieniu księża ci mogli to tłumaczyć obowiązkiem świadczenia uczynków miłosierdzia wobec ciała. Jednak ich udział bardziej był podobny do odegrania roli figurantów, którą się posłużono do uspokojenia bliskich ofiar. Co więcej, za jej odegranie przynajmniej kapłani wojskowi otrzymali wynagrodzenie...

Podchody władz

Nowi przywódcy partii i rządu, I sekretarz KC Edward Gierek i premier Piotr Jaroszewicz, w swych pierwszych wystąpieniach mówili o współdziałaniu i marginalizowanego w sferze publicznej. Wskazywali tym samym, że w celu zaprowadzenia porządku zamierzają wykorzystać jego ogromny autorytet. Nie uszło to uwadze hierarchów, choć ich działania nie były obliczone na zysk. Przede wszystkim starali się zapobiec dalszemu rozlewowi krwi.

Gdy w styczniu 1971 r. przez kraj przetoczyła się kolejna fala strajków, przyczyną znów zwrócili się w stronę Kościoła. W Szczecinie i Trójmieście przeprowadzono rozmowy z częścią duchownych, wprost prosząc o tonowanie wzburzonego nastrojów. Podczas spotkania przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku Tadeusza Bejma z biskupem Nowickim ten pierwszy przekonywał: „Wszystko jest już na najlepszej drodze. Powoli spokój znowu zapanuje w Trójmieście”. Przedstawił dotychczasowe decyzje rządu i wskazał, że zaczęto je realizować. Próbował przy tym przekupić hierarchę obietnicą zwrotu kościoła św. Stanisława w Gdańsku-Wrzeszczu, który od 1939 r. służył celom świeckim. Bejm

mocno zaakcentował: „Wszystko zrobimy, ale w spokoju” oraz zaapelował o „alliance w tej sprawie”:

- Zwracam się z prośbą do ks. biskupa o jutrzejszy apel do ludności o spokój.

- My jesteśmy po to, by był pokój. Aniołowie w Betlejem śpiewali „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi...”

- „...pokój ludziom dobrej woli” - dokończył przewodniczący.

- Przez dwa tysiące lat Kościół to czyni i czynić będzie - odparł hierarcha. I zarządził odmówienie w kościołach bardzo ogólnej modlitwy o pokój... Nie przeszkodziło to komunistom przedstawiać tego jako swojej zasługi i dowodu na to, że księża spełnili ich oczekiwania.

Dzień modlitw za Ojczyznę

W styczniu też podjęto pierwsze po długim czasie kontakty na linii Episkopat-rząd, mające na celu poprawę wzajemnych stosunków. Choć biskupi domyślali się, że nowe władze nie mają czystych intencji, to nie zamierzali odtrącać wyciągniętej ręki. Nie czynili tego ad hoc, zwłaszcza że nadal nie spełniono żądań robotników. Z tego powodu z inicjatywą prymasa 14 lutego w świątyniach całej Polski wybrzmiał list pasterski Episkopatu odnoszący się wprost do rewolty, a użyte w nim sformułowania były jednoznaczne: „W bolesnych wydarzeniach grudniowych niebacznie użyto broni. Wywołało to tragiczne w skutkach następstwa! Ulice miast Wybrzeża spłynęły krewią, a cały naród doznał głębokiego wstrząsu”. Biskupi wzywali cały naród do modlitw za ojczyznę na specjalnych nabożeństwach. Ich celem było uspokojenie sytuacji, bo „gdzie nie ma wewnętrzного pokoju, zagrożona jest niepodległość”. Szczególnie prymas obawiał się, że eskalacja konfliktu w Polsce może skutkować interwencją zewnętrzną, na wzór tej sprzed półtora roku w Czechosłowacji. Tego dnia modlono się za ofiary, ale też za sprawców nieszczęść i decydentów.

Atmosfera w kraju wciąż była napięta, czego potwierdzeniem były strajki paraliżujące Łódź. Dzień po modlitwach rządzący zapowiedzieli wycofanie się ze stanowiącej zarzewie konfliktu podwyżki cen. Nie brakło komentarzy, że przyczynił się do tego właśnie głos wiernych.

Jeszcze w czasie świąt, w ramach tradycyjnej pomocy charytatywnej najuboższym niektórym rodziny poszkodowanych i aresztowanych zostały objęte wsparciem ze strony swoich proboszczów. Z inicjatywy prymasa utworzono dla nich specjalny fundusz pocho-



Płonący Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku, 15 XII 1970 r.

dzący ze zbiórek przeprowadzonych we wszystkich polskich kościołach w dniu modlitw za ojczyznę. Pomoc otrzymały nie tylko rodziny zabitych, ale również rannych i aresztowanych.

Symboliczny pomnik ofiar Grudnia '70

Choć postulaty robotnicze z tego okresu w większości odnosiły się do poprawy sytuacji ekonomicznej, to były wśród nich i te dotyczące sfery wyznaniowej. Chodziło między innymi o powrót religii do szkół czy dostęp Kościoła do radia i telewizji. W Gdańsku najważniejsze było jednak podniesienie przez stoczniovców żądanie wydania zgody na budowę kościoła na Przymorzu. Mówił o tym choćby Henryk Lenarciarz podczas spotkania z Gierkiem w Gdańsku 25 stycznia 1971 r.

Od dekady komuniści nie godzili się na wzniesienie nowoczesnej i monumentalnej świątyni na tym rosnącym z roku na rok osiedlu, parafianie zaś musieli pozostać z kaplicy-baraku. Nie pomagały podania, delegacje i inne interwencje. Zmiana nastąpiła po rewolcie grudniowej i wpisaniu tego żądania do listy oficjalnych postulatów robotników. Ostatecznie zgodę wydano w lipcu 1971 r. W ciągu kilku lat stanął słynny „Okraglak”, nazywany przez niektórych symbolicznym pomnikiem ofiar Grudnia '70.

Analogiczna sytuacja dotyczyła Kościoła Morskiego ofiar redemptorystów w Gdyni. Po kilkunastu latach starań na jego budowę zezwolono dopiero w listopadzie 1971 r.

Trzeba też odnieść się do, niestety, zafałszowanej historii zrujnowanego w 1945 r. kościoła św. Brygidy w Gdańsku. Według powielanej później relacji jego (od)budowni-

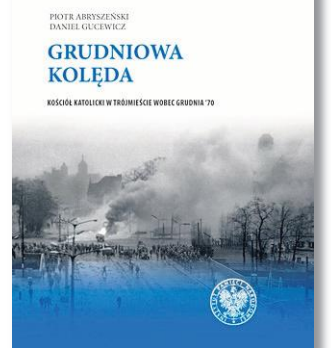
czego i wieloletniego proboszcza ks. Henryka Jankowskiego komuniści zgodzili się na odbudowę dopiero po rewolcie grudniowej. W rzeczywistości stało się to już w lutym 1970 r. i było efektem wieloletnich, usilnych próśb biskupa Nowickiego. Jeszcze przed protestami ruszyły pierwsze prace remontowe. Mimo to nie można odebrać ks. Jankowskiemu dokonania imponującego dzieła szybkiego odrestaurowania świątyni oraz tego, że jako jeden z pierwszych kapłanów dbał o pielęgnowanie pamięci Grudnia i jego ofiar.

Powściągliwość Kościoła?

Kościół w okresie PRL był dla wielu Polaków enklawą prawdziwej wolności, rzecznikiem łamanych praw społeczeństwa i oparciem dla jego dążeń. Obrona autonomii Kościoła była więc nie tylko obroną status quo duchowieństwa, ale również wszystkich wierzących i niewierzących. W historiografii przyjęło się określać postawę Kościoła w czasie Grudnia '70 jako powściągliwą. Określenie to wydaje się jednak krzywdzące - sugeruje bowiem wycofanie się z poparcia dla słusznego protestu. Właściwsze jest mówić o ostrożności. Nie można przecież oczekiwać, by kapłani wzywali do otwartej walki przeciwko reżimowi, zwłaszcza w sytuacji, gdy posługiwał się on potęgą na tak wielką skalę. Nawoływanie do spokoju było jedynym możliwym rozwiązaniem. Nie chodziło oczywiście o uczynienie zadość prośbom władz, a służyło przede wszystkim bezpieczeństwu strajkujących i ich bliskich. W sytuacji bezpośredniego zagrożenia zdrowia i życia swoich parafian księża nie mogli się po prostu zachować inaczej.

Wyważone stanowisko zajęte przez hierarchię pozwo-

liło na dalsze poszerzenie praw i wolności wyznaniowych i obywatelskich w ogóle. Było to zasługą konsekwentnego i realistycznego postępowania Prymasa Tysiąclecia, które małymi krokami kruszyło mur komunizmu.



„Grudniowa kolęda. Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70” Książka IPN Gdańsk stanowi pierwszą próbę kompleksowego przedstawienia reakcji Kościoła katolickiego na rewoltę grudniową 1970 r. w Trójmieście. Opisano w niej również działania władz komunistycznych, które w obliczu kryzysu starały się wykorzystać autorytet duchowieństwa do własnych celów.

Internetowa promocja książki w środę 16 grudnia, godz. 12.30

Transmisja : IPNtv





FOT. ZBIORY PIOTRA BRZEZIŃSKIEGO

NAJDŁUŻSZY PROCES III RP

Pomimo pięcioletniego śledztwa i osiemnastoletniego procesu sądowego, w którego trakcie przesłuchano blisko 1100 świadków i zebrano ogromny materiał dowodowy, Grudzień '70 wciąż pozostaje zbrodnią bez kary i jaskrawym przykładem słabości polskiego sądownictwa

DR PIOTR BRZEZIŃSKI (IPN GDANSK)

Upadek komunizmu umożliwił podjęcie śledztwa w sprawie grudniowej masakry. W październiku 1990 r. śledztwo w tej sprawie wszczęła Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni. Od samego początku budziło to kontrowersje, gdyż instytucja ta zasłynęła bezwzględnyściami opozycjonistów w czasie stanu wojennego. W dodatku, kierujący śledztwem prok. Jan Siemianowski, nie miał wcześniej bliższych związków z Wybrzeżem i musiał praktycznie od zera zgłębiać zarówno skomplikowaną materię dochodzenia, lokalną specyfikę, jak i topografię terenu. Publicysta i autor sześciu książek o Grudniu '70 Zbigniew Branach określił wręcz jego początkowe działania mianem poruszania się po omacku.

Śledztwo rusza po omacku

Na działaniach Prokuratury Marynarki Wojennej swoiste piętno wywierał też zapewne fakt, że wszyscy jej pracownicy byli do niedawna podwładnymi gen. Jaruzelskiego. Ostosunku wojskowych prokuratorów do tego śledztwa najlepiej świadczą słowa prok. Siemianowskiego, który przyznał, że niektórzy z nich „nie

mieli ochoty uczestniczyć w pracach naszego zespołu”. Kolejną trudność sprawiali świadkowie, którzy matczyli podczas składania zeznań, bo trudno inaczej nazwać sytuację, gdy byli dowódcy wojskowi twierdzili, że nie mieli pojęcia o tym, że w grudniu 1970 r. były ofiary śmiertelne. Prokuratorzy mieli też trudność z dotarciem do niektórych z nich, bo przedstawiciele kierowanego przez gen. Floriana Siwickiego MON, nie podawali im aktualnych adresów zamieszkania oficerów pacyfikujących Wybrzeże. W kwietniu 1993 r. prok. Siemianowski postawił zarzuty gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu, gen. Stanisławowi Kruczkowi, gen. Mieczysławowi Urbańskiemu, płk. Kazimierzowi Świtale, mjr. Wiesławowi Gopowi i Stanisławowi Kociołkowi. Nie udało się jednak ustalić, kto konkretnie strzelał do manifestantów i we wrześniu 1993 r. prokuratura wydała postanowienie o częściowym umorzeniu śledztwa. W jego sentencji stwierdzono, że z powodu niewykrycia sprawców umorzono postępowanie wobec milicjantów i żołnierzy, którzy w dniach 15-18 grudnia 1970 r. w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie strzelali do manifestantów. Tym samym bezpośredni sprawcy masakry już na wstępie stali się bezkarni.

Na mocy tego samego postanowienia umorzono również śledztwo wobec dwunastu nieżyjących już wówczas czołowych peerelowskich dygnitarzy i oficerów biorących udział w pacyfikacji Wybrzeża: Władysława Gomułki, Józefa Cyraniewiczicza, gen. Mieczysława Moczara, Zenona Kliszki, gen. Grzegorza Korczyńskiego, gen. Bolesława Chochy, gen. Stanisława Antosa, gen. Henryka Słabczyka, gen. Franciszka Słachyca, płk. Romana Kolczyńskiego, płk. Stefana Losiaka i kpt. Mariana Zatorskiego.

Akta z Gdyni

W październiku 1993 r. minister sprawiedliwości i prokurator generalny Jan Piątkowski odebrał śledztwo Prokuratury Marynarki Wojennej i przekazał je Prokuraturze Wojewódzkiej w Gdańsku. Kierujący nią prok. Leszek Lackorzyński powierzył śledztwo prok. Bogdanowi Szegdzie i prok. Maciejowi Schulzowi. Niestety, wgląd w dokumentację zebraną przez prokuraturę wojskową umożliwiono im dopiero pół roku później. Na dodatek w sierpniu 1994 r. prok. Lackorzyński został zawieszony w czynnościach przez nowego, postkomunistycznego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Włodzimierza Cimoszewicza.

W międzyczasie doszło do ważnego przełomu. Jak wspominał prok. Lackorzyński: „W kwietniu 1994 r. nieoczekiwanie pewna osoba, za pośrednictwem dwójki dziennikarzy, przekazała mi akta śledztwa, prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Gdyni w 1971 r. Akta te miały zostać zniszczone, ale na szczęście ktoś zdążył je wcześniej wynieść. W aktach były protokoły z sekcji zwłok i pociśki wyjęte z ciał zamordowanych robotników. Dowody te obalały podstawową tezę Prokuratury Marynarki Wojennej, że nikt nie strzelał w tłum, a zabici zostali postrzeleni w wyniku rykoszetów”. Kule nie miały żadnych zniekształceń, co dowodziło, że nie było tu mowy o rykoszetach, lecz

KULE NIE MIAŁY ŻADNYCH ZNIEKSZTAŁCEŃ, CO DOWODZIŁO, ŻE NIE BYŁO TU MOWY O RYKOSZETACH, LECZ STRZELANO WPROST DO BEZBRONNYCH LUDZI

strzelano wprost do bezbronnych ludzi.

12 oskarżonych

W kwietniu 1995 r. prok. Bogdan Szegda skierował do Sądu Okręgowego w Gdańsku akt oskarżenia wobec 12 byłych członków władz państwowych i oficerów MON i MSW. Wśród oskarżonych znaleźli się:

- Wojciech Jaruzelski (gen. armii, minister obrony narodowej);
- Kazimierz Światała (płk, minister spraw wewnętrznych);
- Stanisław Kociołek (wiceprezes Rady Ministrów);
- Tadeusz Tuczański (gen. broni, wiceminister obrony narodowej);
- Józef Kamiński (gen. broni, dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego);
- Stanisław Kruczek (gen. brygady, dowódca 8. Dywizji Zmechanizowanej);
- Edward Łańcucki (gen. brygady, dowódca 16. Dywizji Pancerniej);
- Mirosław Wiekiera (ppłk, dowódca 3. batalionu 55. pułku zmechanizowanego);
- Wiesław Gop (mjr, dowódca 3. plutonu 2. kompanii szkolnej Podoficerskiej Szkoły Obrony Terytorialnej 10. pułku Wojsk Obrony Wewnętrznej);
- Władysław Łomot (płk, dowódca 32. pułku zmechanizowanego);

- Bolesław Fałdasz (płk, zastępca ds. politycznych dowódcy 32. pułku zmechanizowanego);
- Karol Kubalica (płk MO, komendant Szkoły Podoficerskiej Milicji Obywatelskiej w Słupsku).

Prokurator wniósł, aby sąd przesłuchał 1091 świadków.

Trzykrotne odwołania

Prezes Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku Zbigniew Szczurek wyznaczył do tej sprawy trzech sędziów: Włodzimierza Brazewicza, Tomasza Panasiuka i Ryszarda Milewskiego. Przewodniczącym składu sędziowskiego został sędzia Brazewicz. Szybko okazało się jednak, że w kwestii grudniowej masakry sądowa machina III RP była zadziwiająco niewydolna. Jak wspominał prok. Lackorzyński: „Sąd trzykrotnie podejmował próbę zablokowania procesu. Najpierw stwierdził, że akta są niekompletne i chciał zwrócić sprawę do prokuratury. Potem stwierdził, że Jaruzelskiego powinien sędzić sąd wojskowy, a nie cywilny. Na koniec chciał, by Jaruzelski odpowiadał nie przed sądem, a przed Trybunałem Stanu. Za każdym razem dzięki sędziom Sądu Apelacyjnego w Gdańsku decyzję Sądu Wojewódzkiego uchylano”. Oskarżenia konsekwentnie nie



przyznawali się do winy. W ich zachowaniu nie widać było skruchy, lecz przekonanie, że dobrze wypełnili swój służbowy obowiązek.

Rola Jaruzelskiego

Szczególne zainteresowanie opinii publicznej wzbudzał Wojciech Jaruzelski, który niemal natychmiast zaczął obwiniać za grudniową masakrę swoich byłych zwierzchników i podwładnych. W szczególności tych nieżyjących i niemających się bronić, czyli Władysława Gomułkę, Józefa Cyrankiewicza, Grzegorza Korczyńskiego i Bolesława Chochę. Jaruzelski przez cały czas starał się też maksymalnie pomniejszyć swoje znaczenie w tamtym czasie.

W przeciwieństwie do byłego ministra obrony narodowej jego dawni podwładni zgodnie zeznawali, że to właśnie on dowodził człościami operacji wojskowych w 1970 r. Rozbieżność w zeznaniach oskarżonych stała się nawet powodem, dla którego Jaruzelski ostentacyjnie nie usiadł obok byłych towarzyszy broni na inauguracyjnej rozprawie grudniowego procesu.

Pierwsza skazana - dziennikarka

Rozprawa ta odbyła się w marcu 1996 r. Pomimo szumnej otoczki medialnej proces nie ruszył jednak z miejsca, gdyż na salę sądową nie dotarło tego dnia aż czterech oskarżonych. Korzystając z okazji Wojciech Jaruzelski oświadczył, że za Grudzień '70 nie odpowiada „ani prawnie, ani moralnie”.

Miesiąc później sąd umorzył postępowanie wobec Wojciecha Jaruzelskiego i Kazimierza Świątały, argumentując, że może ich sądzić tylko Trybunał Stanu. Decyzja ta spotkała się ostrą krytyką Wiesławy Kwiatkowskiej, która nagłośniła fakt, że tuż przed jej ogłoszeniem sędzia Włodzimierz Brazewicz pojechał do Warszawy na specjalne konsultacje. Ujawnienie tej informacji skompromitowało werdykt, który zresztą już w czerwcu 1996 r. został uchylony przez Sąd Apelacyjny w Gdańsku. Sąd Okręgowy poczuł się jednak zniesławiony przez Kwiatkowską. W rezultacie wytoczono jej osobny proces, w którego wyniku została skazana przez Sąd Rejonowy w Malborku na karę pieniężną i trzy miesiące pozbawienia wolności w zawieszaniu na dwa lata. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że sędzia Brazewicz wystąpił tam w charakterze oskarżyciela posiłkowego i domagał się pozbawienia tej zasłużonej dziennikarki prawa wykonywania zawodu. Tym samym Kwiatkowska po raz drugi została skazana z powodu Grudnia '70. W okre-

sie stanu wojennego Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni skazał ją bowiem na 5 lat więzienia za zbieranie informacji o grudniowej masakrze. O ile jednak w PRL karanie ludzi za badanie tej tematyki było zrozumiałe, o tyle w III RP zakrawało już na ponurą groteskę.

Do Warszawy

Z czasem gen. Jaruzelski, a w ślad za nim także inni oskarżeni, zaczęli coraz częściej zastaniać się niepamięcią i złym stanem zdrowia. W marcu 1997 r. sędzia Brazewicz wyłączył ze względu na problemy zdrowotne do odrębnego postępowania aż pięciu oskarżonych.

W czerwcu 1998 r. prok. Bogdan Szegda odczytał akt oskarżenia. Na ławie oskarżonych zasiadało wtedy siedem osób: Stanisław Kociołek, Stanisław Kruczek, Władysław Łomot, Bolesław Fałdasz, Wiesław Gop, Tadeusz Tuczapki i Mirosław Wiekiera.

Wydawało się, że sprawa w końcu ruszy z miejsca, lecz w listopadzie 1999 r. Sąd Najwyższy orzekł, że proces należy przenieść do Sądu Okręgowego w Warszawie. Oficjalnym powodem zmiany miejsca był zły stan zdrowia Wojciecha Jaruzelskiego, Józefa Kamińskiego i Edwarda Łanicuckiego. Było wielce znamienne, że idąc na rękę trzem oskarżonym, Sąd Najwyższy nie wziął pod uwagę faktu, że po przeniesieniu procesu do stolicy większość mieszkańców na Wybrzeżu świadków będzie odtąd zmuszona jeździć na rozprawy do Warszawy. O ich zdrowiu i wygodę nikt się już nie martwił.

Pierwsza rozprawa w Warszawie odbyła się dopiero w październiku 2001 r. Opóźnienie nie było przypadkowe. Jak pisała Wiesława Kwiatkowska: „Podczas tych dwóch lat oskarżeni występowali o umorzenie postępowania, o zwrot akt prokuraturze, sąd zwracał się do Trybunału Stanu z pytaniem, czy członkowie Rady Ministrów mogą odpowiadać przed sądem pow-

szonym. Gdy wszystkie wnioski oskarżonych zostały odrzucone, 17.05.2001 r. obrońcy Jaruzelskiego - Witold Rozwens i Kazimierz Łojewski - odmówili obrony swego klienta, bo »stali się przedmiotem nagonki mediów«, a po kilkunastu dniach Jaruzelski wystąpił o obrońcę z urzędu”. Nowi obrońcy generała - Jan Borowicz, Waldemar Kaim i Irena Łozińska - najpierw zawnieśli o odroczenie kolejnej rozprawy, gdyż - co zrozumiałe - musieli mieć czas na zapoznanie się z olbrzymią dokumentacją. Potem jednak nieoczekiwanie wystąpili o zwrot sprawy do prokuratury.

Podczas kolejnych rozpraw gen. Jaruzelski wygłaszał długie wyjaśnienia, które jednak nie wnosiły nic istotnego do sprawy. Mimo przeniesienia procesu do stolicy oskarżeni nagminnie nie stawiali się w sądzie. W 2003 r. prok. Szegda złożył wniosek o zmniejszenie liczby świadków. Wniosek spotkał się ze sprzeciwem obrońców oskarżonych, którzy zdali sobie sprawę, że mogłoby to utrudnić im dalsze przedłużanie procesu.

Jak zauważyła relacjonująca na bieżąco grudniowy proces Wiesława Kwiatkowska: „Sąd jest wyraźnie przychylny oskarżonym, a oskarżyciele posiłkowi wielokrotnie muszą prosić o zaprotokołowanie istotnych fragmentów zeznań. Prowadzący sprawę sędzia Piotr Wachowicz nie zna topografii miejsca zbrodni i wymaga, by świadkowie mu ją jasno opisali. Adam Gotner zareagował na zarzut niejasności stwierdzeniem: to nie ja jestem winien, że rozprawa została przeniesiona do Warszawy i został skarcony: - Niech świadek się liczy ze słowami, świadek stoi przed sądem! Czy jest dopuszczalne, by sędzia prowadzący tak trudną sprawę nie zapoznał się dokładnie z miejscem, którego ona dotyczy?” Zachowanie sędziego świadczyło nie tylko o lekceważeniu przez

niego swoich obowiązków służbowych, lecz także o zwykłej arogancji względem rannego sześciami kulami naocznego świadka gdyńskiej masakry.

Prawdziwym skandalem okazał się jednak fakt, że skarżący się wielokrotnie na kłopoty zdrowotne Wojciech Jaruzelski, nie stawiał się na rozprawę 8 maja 2005 r., gdyż wyjechał do Moskwy, by uczestniczyć w wielogodzinnych uroczystościach z okazji 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej.

Zaskakujący wyrok

W końcu 2008 r. na ławie oskarżonych zasiadało już tylko sześć osób: Wojciech Jaruzelski, Stanisław Kociołek, Tadeusz Tuczapki, Mirosław Wiekiera, Wiesław Gop i Bolesław Fałdasz. Proces zaczął się jednak opóźniać z powodu problemów zdrowotnych jednego z sędziów.

W maju 2011 r. po śmierci jednego z ławników okazało się, że cały proces musi zacząć się od nowa. Dziwnym trafem nie wyznaczono bowiem ławników rezerwowych. Przewodniczącym nowego składu sędziowskiego został sędzia Wojciech Małek. W tym miejscu należy podkreślić, że prok. Bogdan Szegda dwukrotnie zwracał się do sądu z wnioskiem o wyznaczenie zapasowego sędziego i zapasowego ławnika, a także z wnioskiem o nagrywanie procesu na wideo. Zarówno sędzia Wachowicz, jak i sędzia Małek, odrzucili wnioski prokuratora.

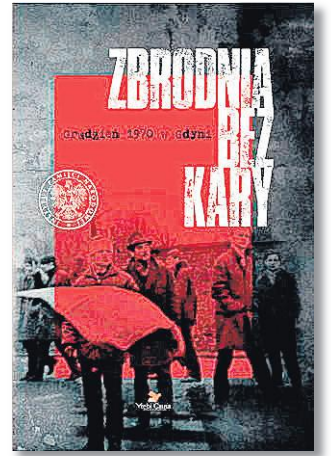
Od lipca 2011 r. proces toczył się bez udziału Wojciecha Jaruzelskiego, który ze względu na zły stan zdrowia został z niego wyłączony (zmarł w 2014 r.). Z postępowania wyłączono też Wiesława Gopa. Od tego czasu na ławie oskarżonych zasiadały już tylko trzy osoby: Stanisław Kociołek, Bolesław Fałdasz i Mirosław Wiekiera. Na początku 2013 r. odbyły się końcowe rozprawy. Prokurator Bogdan Szegda domagał się dla oskarżonych kary 8 lat

więzienia i 10 lat pozbawienia praw obywatelskich. Adwokaci żądali uniewinnienia.

Wyrok warszawskiego Sądu Okręgowego z kwietnia 2013 r. zaskoczył większość obserwatorów. Stanisław Kociołek został uniewinniony, a dwóch dowódców wojskowych, biorących bezpośredni udział w pacyfikacji robotników 16 grudnia 1970 r. pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej i 17 grudnia 1970 r. przy przystanku kolejowym Gdynia Stocznia, skazano na dwa lata więzienia w zawieszaniu na cztery lata. Skazano ich jednak nie za udział w zabójstwie, lecz za udział w pobiciu ze skutkiem śmiertelnym. Kontrowersyjny wyrok wywołał medialną burzę, wzbudzając niedowierzanie świadków i rozgoryczenie krewnych ofiar. W przygotowanej pod koniec 2013 r. apelacji prok. Szegda napisał, że Kociołek był winny zarzucanego mu przestępstwa, gdyż jako wtajemniczony w proces decyzyjny wysoki rangą urzędnik państwowy w żaden sposób nie przeciwstawił się podjętej przez Gomułkę decyzji o użyciu broni palnej wobec demonstrantów i nie podjął jakichkolwiek działań dla zapobieżenia użyciu broni. Na temat wspomnianych wyżej oficerów LWP, prokurator stwierdził zaś, że - wbrew argumentacji sądu - obaj z pełną świadomością sytuacji wydali podległym sobie żołnierzom rozkaz użycia broni palnej.

W czerwcu 2014 r. Sąd Apelacyjny w Warszawie podtrzymał wyrok Sądu Okręgowego, lecz w kwietniu 2015 r. Sąd Najwyższy uwzględnił kasację wniesioną przez prok. Szegdę i uchylił wcześniejsze wyroki. Otworzyło to możliwość dalszego sądownictwa Stanisława Kociołka. Wszystko wskazywało na to, że jego proces będzie kontynuowany w Gdańsku, lecz zmarł on kilka miesięcy później.

„Ta sprawa była ogromnym wyzwaniem. Nigdy jednak nie spodziewałem się, że będzie miała ona taki przebieg, i że potrwa aż tyle lat” - przyznał w grudniu 2015 r. prok. Bogdan Szegda. Przebieg tego monstrualnego procesu zaskoczył wielu jego uczestników i obserwatorów, lecz najbardziej chyba bliskich ofiar Grudnia '70, którzy przez kilkadziesiąt lat daremnie czekali na sprawiedliwy wyrok dla sprawców grudniowej masakry. Jak stwierdził uczestniczący w procesie, jako przedstawiciel społeczny NSZZ Solidarność, mec. Piotr Andrzejewski: „Ten proces i zapadły wyrok więcej mówi o systemie III Rzeczypospolitej, w jakim przyszło nam żyć, niż uczone analizy”. Trudno nie zgodzić się z tą oceną.



„Zbrodnia bez kary. Grudzień 1970 w Gdyni. Przebieg wydarzeń, represje, walka o prawdę, najdłuższy proces III RP” (wydanie II rozszerzone)

Książka jest najnowszą próbą spojrzenia na grudniową tragedię w Gdyni. Zawiera informacje na temat życia codziennego w mieście w latach 60. XX w., szczegółowy opis przebiegu gdyńskiego Grudnia '70 i represji, które spadły na jego uczestników. Autorzy analizują postulaty gdyńskich robotników i opisują losy członków Głównego Komitetu Strajkowego dla miasta Gdyni - pierwszego w historii PRL niezależnego od władz komunistycznych komitetu robotniczego. Opisują problem zakłamywania pamięci Grudnia '70 przez komunistów i wieloletnią walkę gdyńskich mieszkańców o godne uczczenie ofiar masakry. Książka zawiera około 300 fotografii i blisko sto dokumentów. Zamieszczono w niej fotografie wszystkich ofiar gdyńskiego Czarnego Czwartku. Są to często ich ostatnie zdjęcia, pokazujące młodych, wchodzących w życie ludzi, którzy zostali nagle zamordowani. Wydanie II zostało wzbogacone o dodatkowe zdjęcia, niepublikowane wcześniej dokumenty i relacje świadków. Jest to pierwsza tego typu publikacja napisana przez profesjonalnego historyka. Do tej pory o grudniowym śledztwie i procesie pisali tylko dziennikarze i publicyści.

Internetowa promocja albumu w czwartek 17 grudnia, godz. 12.00
Transmisja : IPNTv



W 2013 r. St. Kociołek został uniewinniony. Dwa lata później Sąd Najwyższy uchylił ten wyrok

ZACHÓD WOBEC GRUDNIA 1970

Wydarzenia Grudniowe w PRL nie mogły być postrzegane bez uwzględnienia realiów polityki międzynarodowej

DR HAB. TYTUS
JASKUŁOWSKI
(IPN SZCZECIN)

Często zapomina się o nich w analizach przełomu 1970 r. Tymczasem masakry na Wybrzeżu nie były, niezależnie od tego, jak bardzo stwierdzenie to będzie bolesne dla ofiar, przesadnie istotne dla osób odpowiedzialnych za dyplomację ówczesnego NATO.

Polska - niepriorytetowa

Co dzieje się na świecie w 1970 r.? Po pierwsze, w Erfurcie oraz Kassel doszło w tym właśnie roku do spotkań szefów rządów obu państw niemieckich. Na podstawie prowadzonych tam rozmów zawarto układ normujący relacje pomiędzy RFN a NRD.

Po drugie, w sierpniu tegoż roku RFN zawarła podobny traktat ze Związkiem Radzieckim. Przy jego okazji potwierdzono zachodniemieckie aspiracje do zjednoczenia. A realizacja tychże opierała się nie na dobrych kontaktach z PRL, a z ZSRR. I dlatego też - po trzecie - uwaga zachodnioeuropejskiej dyplomacji koncentrowała się od końca marca 1970 r. na powrocie czterech mocarstw okupacyjnych do wspólnych negocjacji na temat uregulowania statusu podzielonego Berlina.

Co to oznaczało dla PRL i postrzegania Grudnia? Przede wszystkim brak szans na bycie priorytetem w działaniach na forum polityki światowej. Układ z PRL, koncipowany przez zachodniemiecką dyplomację, miał swoją funkcję, ale jedynie w stosunku do stabilizacji położenia w Europie. Niecałe dwa lata wcześniej doszło do interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Kolejna operacja wojskowa tego typu nie była na Zachodzie Europy nikomu potrzebna. A, jak wspomniano wcześniej, priorytet - przynajmniej dla Republiki Federalnej - posiadały relacje z ZSRR i NRD.

Brak priorytetów w stosunku do Polski implikowały też techniczne warunki pracy akredytowanych w PRL zachodnich dyptomatów. W trakcie kryzysu grudniowego państwo takie jak RFN, nieposiadające w Warszawie ambasady, którego misja handlowa zajmowała się trakta-

tem dwustronnym, nie mogła liczyć na swobodę dostępu do miejsc bezpośrednich starć, choćby z uwagi na blokadę informacyjną. Tak zwany „Zachód” czerpał wiedzę o grudniu dzięki pracy niewielkich konsulatów państw neutralnych, np. Szwecji, które i tak podlegały bardziej agresywnemu nadzorowi kontrwywiadowczemu niż ten w Warszawie. Last but not least, co pokazywały opublikowane w 2019 r. wyniki badań prof. Patryka Pleskota, praca w placówkach w PRL nie stanowiła np. w Departamencie Stanu specjalnego awansu. I w takich okolicznościach należało zbierać, weryfikować i przekazywać własnym centralom dane o tym, co właściwie działo się i może zdarzyć się po Grudniu 1970 r. w Trójmieście, Szczecinie, ale też w całej PRL.

Brak kompetentnych źródeł na miejscu

Przechodząc na poziom technologii dyplomatycznej, można było domniemywać, iż źródła informacji, a także ich jakość mogły być dyskusyjne, przynajmniej z punktu widzenia współczesnej wiedzy na temat grudniowego przełomu. I tak niewątpliwie było. Departament Obrony USA, który przyznawał się - niezależnie od szczości takiego oświadczenia - do braku kompetentnych źródeł na miejscu. Co domniemywano? Do rozpoczęcia protestów miało dojść 14 grudnia. Główne instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje to... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Ale też dzięki temu w dokumentacji krążącej między resortami

plotek, półprawd albo dezinformacji. Nie ukrywał tego np. Departament Obrony USA, który przyznawał się - niezależnie od szczości takiego oświadczenia - do braku kompetentnych źródeł na miejscu. Co domniemywano? Do rozpoczęcia protestów miało dojść 14 grudnia. Główne instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje to... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Ale też dzięki temu w dokumentacji krążącej między resortami



Zdjęcie i relacja z protestu w Gdańsku trafiły na czołówkę „The Times” już następnego poranka

plotek, półprawd albo dezinformacji. Nie ukrywał tego np. Departament Obrony USA, który przyznawał się - niezależnie od szczości takiego oświadczenia - do braku kompetentnych źródeł na miejscu. Co domniemywano? Do rozpoczęcia protestów miało dojść 14 grudnia. Główne instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje to... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Ale też dzięki temu w dokumentacji krążącej między resortami

plotek, półprawd albo dezinformacji. Nie ukrywał tego np. Departament Obrony USA, który przyznawał się - niezależnie od szczości takiego oświadczenia - do braku kompetentnych źródeł na miejscu. Co domniemywano? Do rozpoczęcia protestów miało dojść 14 grudnia. Główne instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje to... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Ale też dzięki temu w dokumentacji krążącej między resortami

**W NATO DOMINO-
WAŁA TEZA O EKO-
NOMICZNYM CHARA-
KTERZE PROTESTÓW.
WYWOŁAŁY GO
PODWYŻKI,
ZAOPATRZENIE -
OKREŚLONE MIANEM
„NAJGORSZEGO
OD CZASÓW
STALINIZMU”**

plotek, półprawd albo dezinformacji. Nie ukrywał tego np. Departament Obrony USA, który przyznawał się - niezależnie od szczości takiego oświadczenia - do braku kompetentnych źródeł na miejscu. Co domniemywano? Do rozpoczęcia protestów miało dojść 14 grudnia. Główne instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje to... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Ale też dzięki temu w dokumentacji krążącej między resortami

plotek, półprawd albo dezinformacji. Nie ukrywał tego np. Departament Obrony USA, który przyznawał się - niezależnie od szczości takiego oświadczenia - do braku kompetentnych źródeł na miejscu. Co domniemywano? Do rozpoczęcia protestów miało dojść 14 grudnia. Główne instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje to... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Ale też dzięki temu w dokumentacji krążącej między resortami

Nikt nie zamierzał ryzykować

Dlaczego doszło do przesilenia? W NATO dominowała teza o ekonomicznym charakterze protestów. Wywołały go podwyżki, zaopatrzenie - określone mianem „najgorszego od czasów stalinizmu”, ale też, zdaniem amerykań-

skich dyptomatów obniżki płac, wzrost przewidywanych norm pracy np. stoczniach szczecińskich, tudzież nowe niekorzystne umowy handlowe z ZSRR. Istotne było również to, że mieszkańcy całego Wybrzeża mieli łatwiejszy kontakt z cudzoziemcami aniżeli inne rejony kraju. Mogło to ułatwić wybuch protestów, ale zarazem ograniczyć ich zasięg terytorialny.

Kwestia sensu wprowadzenia podwyżek oraz pytanie o świadomość władz, co do gwałtownej reakcji na nie tłumaczono tym, że gdyby nie zostały one ogłoszone w Grudniu, ich późniejsze wprowadzenie spowodowałoby, np. zdaniem źródeł dyplomacji RFN, jeszcze większe turbulencje. Równie istotny miał być konflikt o władzę pomiędzy Gierkiem, Moczałem a Gomułką.

Pomimo skali ofiar śmiertelnych - szacowanych przez źródła brytyjskie nawet na 300 - wydarzenia Grudniowe, niezależnie od zmian na szczytach władzy w PRL, nie mogły zmienić wiele w wstrzemięźliwej reakcji państw NATO na sytuację w Polsce. Dowodem tego nie było bynajmniej ani incydentalne miejsce PRL chociażby w informacjach

dziennych CIA dla prezydenta USA z grudnia 1970 r. oparte na danych z nasłuchu radiowego, ani też traktat RFN z PRL. Oba główne bloki militarne ówczesnego świata - NATO i Układ Warszawski - wchodziły w fazę odprężenia. Nikt nie zamierzał ryzykować pogorszenia relacji z ZSRR dla idealizmu polskich robotników, tym bardziej że w coraz bardziej niespokojnym świecie stabilność na granicy wrogie bloków militarnych w Europie była wartością nadrzędną. A ponieważ Pentagon w trakcie przesilenia nie informował o zauważeniu zmian w dyslokacji jednostek Armii Radzieckiej, nie zamierzano robić nic. Najwyżsi rangą dyplomaci RFN i USA w rozmowach „w cztery oczy” potrafili o Polsce wspomnieć np. 21 grudnia 1970 r. tylko raz, ograniczając się do stwierdzenia o wystąpieniu tam „niepokojów” i przejść do obaw o stabilność sytuacji w NRD. Sam Gierek był o tyle ważny, o ile przestępowałby zawartego traktatu i nie blokował emigracji ekonomicznej do Republiki Federalnej. Romantyzm robotniczego zrywu, nie po raz pierwszy zresztą w polskiej historii, mało kogo w Europie obchodził.

GRUDZIEŃ '70 - PAMIĘTAJMY!

Publikacje, upamiętnienia, wystawy, prelekcje, gry online, infografika. W 50. rocznicę rewolty grudniowej IPN Gdańsk przygotował wiele inicjatyw, które nie tylko popularyzują wiedzę o Grudniu '70, ale znacznie ją poszerzają

JAN HLEBOWICZ
(IPN GDANSK)

Podwyżka cen ogłoszona 12 grudnia 1970 r., tuż przed świętami Bożego Narodzenia, wywołała społeczne oburzenie. Stanisław Kociołek, wicepremier PRL, członek Biura Politycznego, przyjechał do Gdańska, aby stonować nastroje robotników. Nie został dobrze przyjęty - stoczniowcy zwyczajnie go wygwizdali. Powiedział wtedy ze złością: „Ja, towarzysze, po pomoc do was nie przyjechałem. Macie robić swoje!”.

Stocznia Gdańska im. Lenina zastrajkowała 14 grudnia. Robotnicy ruszyli pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR, skandując hasła: „Złodzieje!”, „Chcemy chleba!”, „Precz z Gomułką!”. Demonstracje robotników w Gdyni rozpoczęły się dzień po pierwszych manifestacjach w Gdańsku. W wyniku krwawej pacyfikacji robotniczej rewolty przez władzę komunistyczną w województwie gdańskim życie straciło 29 osób. 27 z nich padło ofiarą akcji oddziałów milicji i wojska. Na ulicach Gdańska śmierć poniosło 8, w Gdyni 18, a w Elblągu 1 osoba. W wyniku obrażeń odniesionych podczas walk w Gdańsku zmarł też jeden funkcjonariusz ZOMO i jeden milicjant. W 50. rocznicę rewolty grudniowej IPN Gdańsk przygotował wiele inicjatyw, które nie tylko popularyzują wiedzę o Grudniu '70, ale znacznie ją poszerzają.



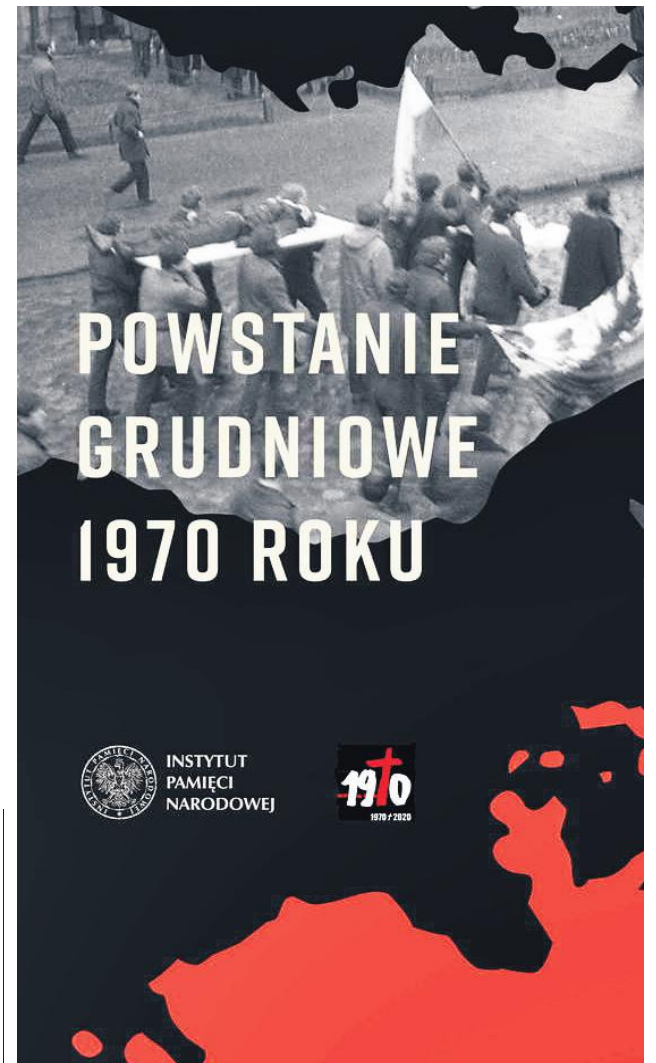
Na uwagę zasługuje najnowsza szczecińsko-gdańska wystawa „Powstanie Grudniowe 1970 roku”. Ekspozycja, składająca się z 32 wielkoformatowych paneli, ukazuje wątki, które dotychczas były rzadko prezentowane na wystawach dotyczących Grudnia '70. Jak przebiegała rewolta grudniowa poza Wybrzeżem? Jak zareagował na nią Zachód? Jak wyglądała walka o pamięć Grudnia '70? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań będzie można znaleźć na wystawie prezentowanej

równolegle w kilku lokalizacjach: Gdańsk - plac Solidarności (11.12.2020-7.01.2021), Gdynia - skwer Kościuszki (11.12.2020-7.01.2021), Elbląg - plac Solidarności (15.12.2020-7.01.2021), Szczecin - plac Adama Mickiewicza (2.12.2020-30.03.2021). Dodatkowo Grudnia '70. Jak przebiegała rewolta grudniowa poza Wybrzeżem? Jak zareagował na nią Zachód? Jak wyglądała walka o pamięć Grudnia '70? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań będzie można znaleźć na wystawie prezentowanej

menty dokumentów i relacji prasowych.

17 grudnia z inicjatywy IPN Gdańsk odbędzie się odsłonięcie tablicy pamiątkowej na budynku SKM w Gdyni Wzgórze św. Maksymiliana, poświęconej młodym ofiarom Grudnia '70, zastrzelonym przez milicję i wojsko w okolicach przystanku SKM. Podczas uroczystości rozdana zostanie bezpłatna broszura „Grudzień 1970 na Wybrzeżu Gdańskim. Pamięci ofiarom zbrodni komunistycznej” zawierająca biogramy zamordowanych oraz informacje o miejscu spoczynku ofiar Grudnia '70. Publikacja jest już dostępna online. Dodatkowo przedstawiciele IPN Gdańsk zapalą znicze na grobach wszystkich ofiar rewolty grudniowej pochowanych na terenie Pomorza Gdańskiego, jak i w pozostałych częściach Polski.

Na uwagę zasługują dwie publikacje IPN Gdańsk. „Grudniowa kolęda. Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70” autorstwa dr. Piotra Abryszeńskiego i dr. Daniela Gucwicza stanowi pierwszą próbę kompleksowego przedstawienia reakcji Kościoła katolickiego na rewoltę grudniową 1970 r. w Trójmieście. Opisano w niej również działania władz komunistycznych, które w obliczu kryzysu starały się wykorzystać autorytet duchowieństwa do własnych celów (więcej na temat książki na stronach: 12-13). Kolejna z publika-



cji to wydanie drugie rozszerzone albumu „Zbrodnia bez kary. Grudzień '70 w Gdyni. Przebieg wydarzeń, represje, walka o prawdę, najdłuższy proces III RP” autorstwa dr. Piotra Brzezińskiego, Roberta Chrzanowskiego i Anny Nadarzyńskiej-Piszczewiat. Książka zawiera około trzystu zdjęć i blisko sto dokumentów. Zamieszczono w niej fotografie wszystkich ofiar gdyńskiego czarnego czwartku. Są to często ich ostatnie zdjęcia, pokazujące młodych, wchodzących w życie ludzi, którzy zostali nagle zamordowani (więcej na temat publikacji na stronach 14-15).

Oprócz wyżej wymienionych inicjatyw IPN Gdańsk zaplanował liczne działania edukacyjne, które ze względu na sytuację pandemiczną pojawiają się głównie w przestrzeni wirtualnej: e-prelekcję poświęconą przebiegowi Grudnia '70, infografikę (wspólnie z Oddziałem IPN w Szczecinie), animację słowno-wokalną „Grudzień 1970”, filmowe kalendarium Grudnia '70 z wykorzystaniem

fragmentów wspomnień uczestników i świadków wydarzeń, quiz z wiedzy o rewolcie grudniowej, wirtualne spacer i gry miejskie poświęcone tematyce Grudnia '70. Dodatkowo do całego nakładu „Dziennika Bałtyckiego” 14 grudnia zostanie dołączona białoczerwona opaska odbłaskowa z okolicznościowym logotypem 50. rocznicy Grudnia '70, a na peronach największych stacji SKM w Trójmieście oraz w pociągach SKM zostaną umieszczone plakaty zachęcające do odwiedzenia stron internetowych IPN z informacjami o obchodach. Pełna lista działań IPN Gdańsk wraz ze szczegółowym opisem dostępna jest na: <https://gdansk.ipn.gov.pl>, <https://ipn.gov.pl/>. Zachęcamy do odwiedzin naszych witryn oraz mediów społecznościowych. Wspólnie uczcijmy 50. rocznicę Grudnia '70. Pamiętajmy!

Planowane wydarzenia i uroczystości mogą ulec zmianie ze względu na sytuację epidemiczną.

...Jedność Gdyni stała się ofiarą niewinnego i niezawinionego męczeństwa, ofiarą bestialskich rozkazów wykonywanych przez organa milicji...
Ks. Hilary Jastak

1970
GRUDZIEŃ

PAMIĘCI

Apolinarego Formeli 20 lat
Stanisława Lewandowskiego 26 lat
Jerzego Skonieczki 15 lat
Zbigniewa Wycichowskiego 20 lat
Waldemara Zajczonki 20 lat
Janusza Żebrowskiego 17 lat

ofiar zbrodni komunistycznej zastrzelonych 17 grudnia 1970 r. nieopodal tego miejsca w czasie brutalnie tłumionych manifestacji przez milicję i wojsko

W 50. rocznicę Grudnia '70
Instytut Pamięci Narodowej

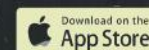
JAK ZAGRAĆ W GRĘ „G-70”?

- 1 ZAINSTALUJ NA TELEFONIE APLIKACJĘ **ACTIONTRACK**
- 2 PO URUCHOMIENIU APLIKACJI ZESKANUJ **KOD QR** ABY POBRAĆ GRĘ
- 3 ABY PRZYSTĄPIĆ DO ROZGRYWKI WCIŚNIJ **ZACZNIJ TERAZ**
- 4 NASTĘPNIE WPISZ SVOJĄ **NAZWĘ UŻYTKOWNIKA** I ZAAKCEPTUJ
- 5 PRZED PRZYSTĄPIENIEM DO ROZGRYWKI KONIECZNA JEST AKCEPTACJA **REGULAMINU**



ZAGRAJ

ACTIONTRACK JEST DOSTĘPNY BEZPŁATNIE NA URZĄDZENIA MOBILNE Z SYSTEMAMI ANDROID I IOS



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oddział w Szczecinie

„BUNT ROBOTNIKÓW. GRUDZIEŃ '70 - LUTY '71”

WYSTAWA ELEMENTARNA

„GRUDZIEŃ '70 NA WYBRZEŻU”

INFOGRAFIKI

POBIERZ

POBIERZ ZE STRONY: SZCZECIN.IPN.GOV.PL

DYSKUSJA ONLINE

„GRUDZIEŃ '70. FAKTY I KONTEKSTY”

UCZESTNICY:

- PROF. PADRAIC KENNEY - INDIANA UNIVERSITY (USA)
- PROF. JERZY EISLER - ODDZIAŁ IPN W WARSZAWIE, IH PAN
- DR MICHAŁ PAZIEWSKI - HISTORYK I ŚWIADEK HISTORII
- DR HAB. SEBASTIAN LIGARSKI - ODDZIAŁ IPN W SZCZECINIE

OD 10 GRUDNIA 2020 R. NA



IPN.SZCZECIN



IPNTVPL

WIĘCEJ INFORMACJI NA:

SZCZECIN.IPN.GOV.PL

OBEJRZYJ

„SZCZECIŃSKA REWOLTA I JEJ OBRAZ UTRWALONY NA KLISZACH”

DR P. MIEDZIŃSKI, SZCZECIN 2020

„SZCZECIŃSKI GRUDZIEŃ 1970. PAMIĘTAMY!”

DR S. KANIEWSKI, DR HAB. S. LIGARSKI, SZCZECIN 2020

PRZECZYTAJ

WIĘCEJ INFORMACJI NA:

SZCZECIN.IPN.GOV.PL

WYSTAWA PLENEROWA

POWSTANIE GRUDNIOWE 1970 ROKU

2.12.2020 – 30.03.2021

SZCZECIN (PLAC ADAMA MICKIEWICZA/
PARK ŻEROMSKIEGO)

11.12.2020 – 7.01.2021

GDAŃSK
(PLAC SOLIDARNOŚCI)

11.12.2020 – 7.01.2021

GDYNIA
(SKWER KOŚCIUSZKI)

15.12.2020 – 7.01.2021

ELBLĄG
(PLAC SOLIDARNOŚCI)

PRZYJDŹ • ZOBACZ • PAMIĘTAJ



IPN.SZCZECIN



IPN.GDANSK



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oddział w Gdańsku



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oddział w Szczecinie





INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Polskie Miesiące

Grudzień 1970

Poznaj nowy portal
Instytutu Pamięci Narodowej

polskiemiesiace.pl